

Jednoaktówki po śląsku



BYSUCH S REICHU

Jednoaktówki po śląsku

BYSUCH S REICHU

Jednoaktówki po śląsku

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Projekt graficzny:
Marian Oslislo/M-Studio s.c.

Korekta: Grażyna Kwiek
Uwaga: w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

Typografia i DTP:
Wojciech Grzegorzycza

ISBN: 978-83-63304-01-0

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentów niniejszej publikacji jest zabronione. Kopiowanie na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym, a także wykonywanie kopii metodą kserograficzną lub fotograficzną narusza prawa autorskie do tej książki.

© Copyright by Imago Public Relations oraz Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów
Katowice 2012

Spis treści

KULTURA PORTRETUJE RZECZYWISTOŚĆ. Rafał Czechowski	7
Z NICZEGO NIE MA NIC? Waldemar Szymczyk	9
NASZE ŚLĄSKIE PRZEBUDZENIE. Ingmar Villqist	11
GROTESKA I TRAGEDIA SPACERUJĄ OBOK SIEBIE	
PO HAŁDACH. Robert Talarczyk	13
PO ŚLĄSKU, O ŚLĄSKU. Mirosław Neinert	15
BYSUCH S REICHU. Roman Gatys	17
KARLUS NIY Z TYI ZIYMI. Leszek Sobieraj	25
KOŚCIOŁOWE DŹWIYRZE. Lidia Michalska	33
BAUPLAC. Ryszard Bednarczyk	41
OPCJO WNUKA. Dariusz Dyrda	49
KEDY TO ŚMIERTKA DO CHOPA PRZYSZŁA. Mariusz Gołosz	59
ŁOJCIEC. Krystian Kokot	63
FLANCAJSTER GLUGOS. Ryszard Stoecker	73
LAUBA. ROZPROWIANI O TYM, CO MINYŁO I SIE JUŻ NIY WRÓCI.	
Grzegorz Sztoler	79
SZPILE. Krystian Węgrzynek	91

Kultura portretuje rzeczywistość

Rafał Czechowski,

dyrektor zarządzający Imago Public Relations

Kiedy ktoś ma dar czy talent idące w parze z entuzjazmem i tym swoistym „chcieniem”, które na Śląsku objawia się zapalem do pracy bez jakiegoś szczególnego oglądania się na nagrodę – jest to warte dostrzeżenia. Jeśli dodatkowo w podejmowanym wysiłku potrafi odnaleźć powody do radości i mieć zeń rodzaj satysfakcji potocznie (ale jakże trafnie) nazywany frajdą – jest to warte uznania. Jeśli wreszcie ten dar, pracę i radość oddaje – zgodnie z Polaków narodowym charakterem – na wezwanie, powszechny apel ku wspólnemu dobru – jest to warte podziwu.

A jeśli – jak to jest w przypadku autorów jednoaktówek po śląsku, czyli dramatów powstałych na konkurs „Gazety Wyborczej” i Imago Public Relations – w rezultatach tej pracy i frajdy jest jeszcze fantazja, kreatywność, umiejętność snucia opowieści i budowania napięcia, sprawność posługiwania się słowem i myślenia obrazem – jest to warte uwiecznienia i wydania książki takiej jak ta!

„Bysuch s Reichu. Jednoaktówki po śląsku” – to zbiór najlepszych dramatów w jednym akcie napisanych gwarą, nadesłanych jako prace w pierwszej edycji konkursu „Jednoaktówka po śląsku” w 2011 r. Znakomite rzeczy napisane przez dramatopisarzy amatorów, entuzjastów „ślónskiyj godki”, teatru i literatury. Różne jak losy Ślązaków, świadome coraz bardziej rozbudzonej współczesnej tożsamości, pełne charakterystycznych cech śląskiej obyczajowości.

A wspólne dobro? Cóż... Dotąd nie wynaleziono lepszego sposobu na portretowanie rzeczywistości i prowadzenie rozmów o sprawach skomplikowanych niż poprzez kulturę.

Ten wyjątkowy wybuch swobody myślenia, entuzjazmu, pracowitości i umiejętności powoduje, że nie mogliśmy nie wydać tej książki. I choć zapis gwary (niejednolity wskutek braku obowiązującego standardu) wymaga od czytelnika skupienia i cierpliwości, zostaje ono po wielokroć nagrodzone.

Z podziękowaniami dla wszystkich, którym chce się chcieć.

Z niczego nie ma nic?

Waldemar Szymczyk,
dyrektor wydawniczy Imago Public Relations

Jeden z moich ulubionych filmów to „Kawa i papierosy” Jima Jarmuscha. W największym skrócie: bohaterowie 11 epizodów spotykają się przy kawie i papierosach, żeby pogadać o różnych rzeczach. I tak od lat wyglądają nasze spotkania z Ingmarem Villqistem. Co prawda od jakiegoś czasu nie ma już papierosów, bo obowiązuje zakaz palenia, ale dobra kawa zawsze jest na stole. No a przede wszystkim są rozmowy, z których rodzi się mnóstwo pomysłów. Jedne daje się zrealizować od razu, inne są w trakcie realizacji, a niektóre pewnie nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Do tej pierwszej grupy zalicza się konkurs na „Jednoaktówkę po śląsku”. Ten pomysł także zrodził się w czasie rozmowy przy kawie, wiosną 2011 roku. Od pomysłu do realizacji minęło zaledwie kilka miesięcy. Jeszcze przed wakacjami na łamach katowickiej „Gazety Wyborczej” ogłosiliśmy konkurs. Organizacji podjęły się „Gazeta” i agencja Imago Public Relations. Patronat nad konkursem objęli: Biuro ESK 2016 Katowice i Śląski Urząd Marszałkowski.

Nie wiedzieliśmy, czy konkurs będzie się cieszył zainteresowaniem. W końcu jako pierwsi zdecydowaliśmy się zachęcić amatorów i zawodowców do pisania w języku, który dotąd kojarzył się z dowcipami Masztalskiego, a nie z poważną literaturą.

Ale kiedy termin zakończenia nadsyłania prac zbliżał się nieubłaganie, zaczęły napływać jednoaktówki. Najpierw po kilka, potem po kilkanaście dziennie. Po wstępnej selekcji do konkursu przyjęliśmy 37 prac. I nad nimi pochyliło się jury w składzie: Ingmar Villqist, dramaturg, Mirosław Neinert, dyrektor teatru Korez, Robert Talarczyk,

dyrektor bielskiego Teatru Polskiego, Rafał Czechowski, dyrektor zarządzający Imago Public Relations, i ja, wówczas zastępca redaktora naczelnego katowickiej „Gazety Wyborczej”. Okazało się, że poziom prac był tak wysoki, że trudno nam było wybrać trzy najlepsze. Wyróżniliśmy więc 10 prac. A ostatecznie nagrodziliśmy Lidię Michalską za sztukę „Kościołowe dźwiyrze” (III miejsce), drugą nagrodę przyznaliśmy Leszkowi Sobierajowi za „Karlusa niy z tyi ziymi”. Wygrał natomiast Roman Gatys, autor jednoaktówki „Bysuch s Reichu”.

Uroczysta gala z okazji rozstrzygnięcia konkursu odbyła się pod koniec września w teatrze Korez. Wieczór uświetnili aktorzy Bernard Krawczyk, Tadeusz Madeja i Grażyna Bułka, którzy czytali nagrodzone prace. Zwycięska jednoaktówka została także opublikowana w magazynie „Gazety Wyborczej”, a wszystkie wyróżnione znalazły się w jej internetowym wydaniu.

„Z niczego nie ma nic” - mówi Świętkowa w „Cholonku”. Konkurs na „Jednoaktówkę po śląsku” pokazuje, jak bardzo się myliła. Bo powstał on... właśnie z niczego.

Nasze śląskie Przebudzenie

Ingmar Villquist,

dramaturg, reżyser teatralny i filmowy

Teksty nadesłane na pierwszą edycję konkursu „Jednoaktówka po śląsku” zaskoczyły nas wysokim poziomem, dojrzałością autorów, chociaż dla większości były to pierwsze próby dramatopisarskie.

Ogłaszając konkurs, chcieliśmy się przekonać, czy możliwe jest za pomocą śląskiego języka, czy jak chcą inni śląskiej gwary, godki, czy dialektu, wyrażanie emocji, intymnych uczuć, czyli tak ważnej i potrzebnej prawdy emocjonalnej zawartej w dialogach, monologach, a to są przecież najważniejsze składowe każdej formy dramatopisarskiej. I udało się.

Okazało się, że język, który słyszymy na co dzień na ulicach, w sklepach, w miejscach publicznych i coraz częściej w urzędach, może być transmiterem znaczeń i emocji wydawałoby się zarezerwowanych tylko dla „prawdziwego” języka. Śląska gwara kojarzona jednoznacznie z post proletariackim gettem etnograficznym, skazana, dla bezpieczeństwa, na funkcjonowanie marginalne i użytkowe w utwierdzaniu wizerunku Ślązaka wywijającego kuflem piwa i zagryzającego to piwo kęsem krupnioka, okazała się być w lekturze konkursowych jednoaktówek materiałem językowym niezwykle plastycznym i jakże bogatym w konstruowaniu znaczeń, metafor, skrótów myślowych, niedopowiedzeń.

To już nie tylko godka tak wdzięczna w kleceniu dowcipów, ale język, za pomocą którego, jak się okazało, autorzy opowiadali historie śmieszne i zabawne, przejmujące i wzruszające – tak jak robią to dramatopisarze na całym świecie, posługując się swoim językiem, gwarą, godką, dialektem – jak zwał, tak zwał.

A jeśli któryś z autorów poruszał problem naszej śląskiej tożsamości uwikłanej w dyktat historii – jak w znakomitej, nagrodzonej jednoaktówce Romana Gatysa „Bysuch s Reichu”, wtedy mamy do czynienia z tekstem niezwykle i zaskakującym trafnością definicji historycznej i emocjonalnej. Wierzimy, że tak się stanie w następnej edycji naszego konkursu i powstaną kolejne teksty o śląskiej przeszłości i trudnym, ale jakże fascynującym dniu dzisiejszym Ślązaków. Bo przecież jesteśmy świadkami i przeżywamy nasze śląskie Przebudzenie – jak to pięknie nazwał Kazimierz Kutz – każdy inaczej, ale równie intensywnie.

Groteska i tragedia spacerują obok siebie po hałdach

Robert Talarczyk,
dyrektor Teatru Polskiego w Bielsku-Białej

Jednoaktówka po śląsku... Brzmi to dość egzotycznie i chyba mało zachęcająco. Trochę jak podrzędna potrawa w przydrożnym barze dla tirowców. „Poproszę pomidorową i jednoaktówkę po śląsku”. „Niestety, jednoaktówki już wyszły”. Od biedy można taką rozmowę usłyszeć w barze przy trasie Katowice – Warszawa.

Kiedy zostałem zaproszony do wzięcia udziału w pracach mających na celu wyłonienie zwycięzcy w konkursie pod takim hasłem, pomyślałem sobie: no dobra, fajnie, i tak będzie trzeba odwołać.

Niestety, kilka pierwszych tygodni potwierdziło moje obawy. Prac spłynęło niewiele i zdawało się, że owa jednoaktówka po śląsku nie ujrzy światła dzienne-go. I tak szybko, jak się pojawiła, tak szybko umrze śmiercią naturalną. Ale nagle zdarzył się cud! W ciągu dwóch tygodni pojawiło się kilkadziesiąt prac, które musieliśmy wspólnie z Ingmarem Villqistem, Waldemarem Szymczykiem, Rafałem Czechowskim i Mirosławem Neinertem przeczytać i ocenić. To było rzeczywiste objawienie. Większość jednoaktówek była znakomicie napisana warsztatowo, obdarzona ciekawymi, niebanalnymi pomysłami i krwistymi postaciami. Klęska urodzaju – można by rzec. Sztuki zostały przeczytane, osądzone i nagrodzone. A teraz ukazują się drukiem.

Fakt tak dużego zainteresowania tym konkursem i przede wszystkim wysoki poziom literacki może wzbudzać w ludziach sztuki uznanie. Współczesny Śląsk zatem nie jest ani prymitywny, ani jednowymiarowy. W tych pisanych często z potrzeby

serca pracach jawi się jako przedziwna kraina, gdzie melancholia za utraconą przed laty potęgą miesza się z nadzieją na nowy, wspaniały świat. Groteska i tragedia spacerują obok siebie po hałdach i spoglądają na nieczynne szyby kopalniarne i powstające jak grzyby po deszczu centra handlowe, drogi, biurowce i dworce. Wystarczy przeczytać kilka prac, by zrozumieć, że konkurs na jednoaktówkę po śląsku był strzałem w dziesiątkę.

Ogromnie się cieszę, że dzięki uporowi pomysłodawców tej idei to wydawnictwo trafi w ręce szerszej rzeszy miłośników śląskiej gwary i tych wszystkich, dla których to miejsce na ziemi jest owym wyśnionym, mitycznym Heimatem. A my, ludzie sztuki, zrobimy wszystko, by te nieoszlifowane diamenty uzyskały szlachetną oprawę. Nie wolno nam zmarnować tego gigantycznego potencjału i zawieść zaufania nowych śląskich dramatopisarzy, którzy dzięki temu konkursowi mogą stać się siłą porównywalną z grupą słynnych śląskich malarzy prymitywistów.

Trzymam kciuki za talenty literackie, które objawią się w kolejnych edycjach. Zaś tym, którzy objawili światu swój talent w edycji premierowej, gratuluję druku. Bo jeśli idzie o sztuki teatralne – na początku był druk, a potem, daj Boże, scena...

Po śląsku, o Śląsku

Mirosław Neinert,
dyrektor teatru Korez

Dziwne, niedające się opisać wzruszenie ogarnęło nas, aktorów i reżyserów, podczas pracy nad „Cholonkiem”. Oto język dzieciństwa, język z placu, spod klopsz-tangi, wchodzi do teatru i brzmi mocno, i brzmi prawdziwie, i prowokuje śmiech i płacz widowni.

Podczas pierwszej edycji konkursu na jednoaktówkę po śląsku te wzruszenia wróciły. Poczułem, że my wszyscy – jurorzy, aktorzy, autorzy i publiczność - jesteśmy u siebie. Mówimy o swoich sprawach i jest to proste, naturalne. I jest to w swojej śląskości do głębi ogólnoludzkie i uniwersalne.

Dla tych wzruszeń i prawdy bijącej z tekstów warto było, warto jest i – mam nadzieję – warto będzie robić kolejne konkursy.

Po śląsku, o Śląsku, dla wszystkich.

BYSUCH S REICHU

Roman Gatys

1975 rocek. Familok na Lipinach. Piyrwszy sztok. Myszkanie Zigi Tyczki. W izbie stoi stoł, styry stołki, rycka, szezlong, na stole blomwaza i aszynbecher. W izbie na lewo som dwa łokna s gardinami i forhangami. Na prawo dźwyrza. Na ścianach świynte łobrozki, Ponbocek na krojcu. Ziga siedzi na stołku przy stole i czyto zeitong.

NYŚKA (*baba łod Zigi*):

Suchej, Ziga, co mom ci do pedzynio. Niy dosz wiary, ale Hyjdlą widziała twojego bracika Jorga, co ze wojny niy prziszoł i łostoł w Rajchu. Godała, że cie szuko i chce s tobom godać, ino że niy miyszkosz już kole huty, to cie niy znod. Łona mu pedziała, kaj miyszkomy.

ZIGA (*chop łod Nyški*):

Pierona, co ty godosz, przeca go niy mogli do nos na Ślonsk puścić, bo łon je na liście, co dostali Ritterkreuz, a takich do Polski niy puszczajom. To sicher niy boł łon, boby go sam do hareshztu zawarli.

NYŚKA:

Toć ci padom, że godoł s Hyjdlom, że to był łon, twój bracik Jorg, i chcioł s tobom godać. A łona go niy zno richtig, bo piyrwyj za bajtla łona boła śpik i miała dziesiyńć lot, a łon był jusz gryfny karlus i ze śpikami niy godoł. A teroz to łon inakszyj wyglondo.

ZIGA (*wnerwiony*):

Niy wierza! Niy wierza! Po co łon by sam do nos mioł przijść. Przeca ino roz w śtyrdziestym siódmym napisoł krotki listek, że żyje i je we Frankforcie. Łod tego czasu niy łodezwol sie i po dwudziestu łośmiu latach miołby sie do nos meldować? Niy godej gupot, to som jakieś plity.

NYŚKA:

Jo ci ino godom, co na kolonii kole huty Hyjdla mi pedziała. Jak je, to do nos przidzie, bo wi, kaj miyszkomy.

(Włazi do izby synek łod Zigi s szychty s huty)

ZYNEK *(synek łod Nyśki i Zigi)*:

Niy ch bydzie pochwolony, fater. Jo dzisiej miol ranno szychta, bestosz do wos włoża, nim póda do dom. Bo zeście chcieli colsztok, waserwoga i kłupa. Bo tyn waserlajtong cza u wos wymiynić. Sam to mom wszystko w tasi, jak niy cza wom tego jusz bydzie, to wezna to nazod. Jak cza wom pomóc, to we sobota mom frei, to moga przyjść i zrobimy to razym.

NYŚKA:

Dobrze, żeś synek prziszol, bo twój łonkel s Reichu podobno przijechoł i mo nos bysuchnońć. To tyn, co my ci godali, że łon je vermist, ino teraz sie znod.

ZYNEK:

Łonkel? To je wasz bracik, fater, pra?

ZIGA:

Po co mu to godosz? Lepi, żeby tego lebra Zynek sam niy widzioł. Jo niy wiym, po co łon sam do nos przijechoł, a to wcale niy musi to być łon, bo go ino Hyjdla widziała, a to sicher niy łon. Bo jo ji niy wierza.

NYŚKA:

Ziga godo, co jak go Poloki chycom, to go do haresztu wrażom.

ZIGA *(wnerwiony)*:

Suchej, przestoń beblać i chyc sie porzondnyj roboty. Warzić łobiod, a niy pierdoły pociskać!!!

ZYNEK:

Czymu, fater? Co matula godo? Co łon zrobyl? Naprowdy to wyście ło nim mi nic niy godali! Fto łon je, że mo iść do haresztu? To jakiś rojber pieroński abo fto???

(Nyśka wyłazi z izby)

ZYNEK:

No, godejcie, fater, no, godejcie!!!

ZIGA:

Do żodnego haresztu!!! Twoi matuli sie wszystko pofyrtało. Hyjdla godała s jakimś chopym, co podobno je Jorg, beztosz to cołe larmo. Naprow-

dy łonkel Jorg to je taki som chop jak jo i twoj sztarosek. Jak bydzie u nos, to do haresztu sicher niy pódzie.

ZYNEK:

Mie sie cosik innego zdowo. Jo teros niy mom czasu, fater, potym do wos wleza, teroz musza do dom na łobiod, bo mie Marika zacząśnie. Jak piźnie dwie, to sam wleza zaś do wos i pogodomy ło łonklu Jorgu z Rajchu.

ZIGA:

Przić synek, przic. Połosprawiomy.

(Zynek wyłazi. Za chwila do izby włazi Nyśka)

ZIGA:

I po coś ta giymba łotwiryła? Dobrze wiysz, że my bes Jorga ino komedyjo mieli. Toć zech ci ło tym łosprawioł. Co jusz tego niy pamiyntosz? Moj fater boł powstaniec i musioł sie co tydziyń na gestapo meldować. Nosiyl „P” na mantlu, jak wyłazył z chałpy. Nos czech wziyni do Wehrmachtu. Alfryd zabity pod Gommel w Rusyji, jo uciyk do Andersa – do Niymcow byłech vermisst, a Jorg, mój bracik, synek powstańca, mioł tysz pitnońć, a co zrobył? Dostoł Ritterkreuz!!! Tako gańba. Jak fater sie ło tym dowiedzioł, to ło mało co hercszlagu niy dostoł. Zaroz wszystkie jego kamraty z powstania przestali s nim godać. A po wojnie godali, że zdrajca narodu polskiego i chcieli nos wszystkich do Rajchu wyciepnońć, bo my dojczce, a niy Poloki. Wszystkie bes Jorga. Nic sie niy liczyło, ani moj Anders, ani powstania, ino Jorga Ritterkreuz. A łon sie pitnoł do Rajchu i niy mioł komedyje, ino my. Do dzisiej na nos paczom krziwo w amcie. Beztosz mom dość Jorga.

NYŚKA:

No mosz recht, chopie, ino niy pamiyntosz, żeś tysz dostoł EK II, zanim żeś uciyk do Andersa.

ZIGA:

Ło pierona, przeca zech ci, babo, godoł, że to boło bez cufal. My siedzieli w kartoflach, a moj Feldfelbel boł z Bytomia i niy chcieli my za Vaterland ginońć. Boło ćma jak w rzici i ino my słyszeli, że idzie pora Rusow. My naliczyli dziesiyńciu, a nos boło piytnostu. To Feldfelbel doł befyjl: „bieremy ich” i my wyskoczyli łod zadku na nich. Żodyn żodnego niy widzioł, ćma boło, Ruse ciepli gewery, bo myśleli, że nos je kupa, my taszlampami świycyli, na cołkie szczyńście zza winkła wyjechoł nosz Leutnant z wojokami i sie pyto, co sie stało, a my, że wziyni my Rusow w gefangenshaft. Jak ich

przeliczyli, to sie nom giyry ugiyny, bo sie łokozało, że ich je sześćdziesion plus dwa ciynszkie gewermaszyny i funkradio, a nos było piytnostu.

NYŚKA:

Bez cufal abo niy, ale żeś dostał i sie Jorga niy chytej.

ZIGA:

Babo, co to je EK II, Ponbocku. Jorg, tyn pieron, som siedymnoście ruskich bunkrow wysadził handgranatoma. To cza być pizniyntym w gowa, i to pyrlikiy.

(Ftoś klupie do dźwiyrzow, zrobiło się cicho.

Jorg nacisko na klamka i włazi do izby)

JORG:

Grüss Gott, bracik, Grüss Gott, bratowo.

ZIGA I NYŚKA *(pedzieli wroz):*

Grüss Gott, Jorg.

JORG:

Przijechoł zech na bysuch do Heimat.

ZIGA:

Jusz zech słyszoł i sie niy raduja. Jak żeś sam do nos przijechoł, jak cie bez grynca puściyli?

JORG:

Myśłoł zech, że sie bydziesz radować, a przijechoł zech autym.

ZIGA:

Dobrze wiysz, ło czym godom, u nos w socjalistycznym landzie niy lubiom takich jak ty. Takimi jak ty sie u nos bajtli w telewizyi strasz.

JORG *(wyciongo reisypas i dowo Zidze):*

Wejrzyj się, czymu mie do wos puściyli.

ZIGA *(biere reisypas i kuko):*

Fto to je Jorg Tannert, fotka twoja, geburstag twój, ino co to za miano Tannert?

JORG:

Jak zech dostał Ritterkreuz, to zech sie zmiynił miano z Tyczka na Tannert.

ZIGA:

Ponbocku, dziynkuja ci, że tego nosz fater niy dożył. Jak by łon to widzioł, toby dzisiej jeszcze roz umar. Ty mosz ała chopie, zmiynić miano!!!

JORG:

Widza, że mie sam niy chcecie?

ZIGA:

A czymu momy cie chcieć? Dwadziyścia łożiym lot tymu żeś krotki listek do nos napisoł i tyła. A nasz fater skuli twojego Ritterkreuza w śtyrdziestym łośmym umar, bo do dojczow niy boło medikamyntow i żodyn mu niy pomog i żodnego niy interesowało, że łon biył się ło Polska.

NYŚKA:

Siadej, Jorg. Łon ino tak godo. Tyju się napijesz?

ZIGA:

Niy napije sie tyju, łon jusz wylazi!

NYŚKA:

Niy torbc, chopie, to je twój bracik!!! Jusz je po wojnie czidziyści lot!!! Ida do kuchnie.

(Nyśka wylazi z izby)

JORG:

Dziynki.

(Jorg siado na szezlongu, w tym momyncie włazi Zynek do izby)

ZYNEK:

Piyknie witomy, łonkel. Jo je Zynek.

(Zynek wyciongo rynka do łonkla)

JORG:

Grüss Gott. A ftoś ty je?

ZYNEK:

Jo je synek łod Zigi.

JORG:

Piyknie witom. Piyknego karlusa momy w familii.

ZYNEK:

Jo ło ciebie, łonkel, nic niy wiym, tyn merc na placu to twój?

ZIGA:

Jaki merc?

JORG:

Przeca przed chwilom żech ci godoł, żech autym przijechoł. Ja, tyn merc je mój.

ZYNEK:

Jo żech na niego jusz kuknoł. Super auto. Jo mom ino syrynka.

JORG:

To przejeć do Rajchu, to tysz bydziesz miół mercedesa.

ZIGA:

Co ty godosz, Zynek nikaj niy jedzie. Jo cie, chopie, mom dość. Ida fort.

(Ziga wyłazi s izby)

ZYNEK:

Fater je na ciebie, łonkel, zły, ino niy wiym czymu. A ty wiysz czymu?

JORG:

Jo dugo sie niy łodzywoł do twojego fatra. Chyba skuli tego. Tysz mog zech jakiś pakiyt wom posłać na świnynta, a tegoch niy zrobiył.

ZYNEK:

To chyba niy idzie ło pakiyty. Jak niy chcesz mi pedzieć, to niy godej.

JORG:

Mosz bracika abo siostra? Wielu was je? Bo jo mom synka i dziółcha.

ZYNEK:

Mioł zech dwóch bracików – zwilingi, łoba umarły. Bez to jo zech je ino jedyn. Jo za to tysz mom dwa bajtle, dwa synki.

(W tym momencie włazi do izby Ziga, czimie w rynce biksa po bonkawie i godo)

ZIGA:

To je twoje, Jorg, bier to i dej nom pokój. My momy robota, swój Welt i niy chcemy żodnych zmian, jo zaś ida fort i jak byda nazod, to mo cie sam niy być.

(Ziga podowo biksa Jorgowi i wyłazi z izby.)

Jorg czimie w rynkach biksa i łotwiyro jom i godo)

JORG:

Gott Sei, Dank!!!

(Zynek na niego kuko z interesom)

ZYNEK:

Co sie stało, łonkel?

(Jorg wyciongo z bikse pudełko, a z niego wyciongo Ritterkreuz)

JORG:

Twój fater ci sicher niy godoł, co jo we štyrdziestym czecim dostał Ritterkreuz. Jak zech boł na urlopie, to zech to sam w Lipinach w chałpie łosta-
wiył i zech myśłoł, że go mój fater, a twój sztarosek wyciep, ale niy – skrył
go. I zaś go mom. I Urkunda tysz je. To je super. Ino na miano Tyczka.

ZYNEK:

Ponbocku świynty, przeca takie medale to ino w filmach niymieckie generały mieli. Tyś łonkel był niemiecki generał? Przeca my byli Poloki. Szta-rosek ło Polska w powstaniach ślonskich sie biył. A fater uciyk z niymieckiego wojska. A ty żeś je niymiecki generał?

(Jorg sie śmieje)

JORG:

Niy, synek, jo niy je generał, ino Feldfebel, to je po polsku sierżant. I takie wojoki jak jo tysz mogły taki Ritterkreuz dostać. Za srogo łodwaga, i jo to zrobiył i dostał. Bestosz niy mog żech na Ślonsku łościć. Jak byś był kiedyś w Rajchu, to sam mosz adres. Tukej mosz tasia ze bombonami i szekoladami i za to, że żech dostał moj Ritterkreuz, sam mosz 1000 Mark. Jak byś jechoł na urlop do Jugosławie, to ci się piniondze przidajom. A w Jugosławii możesz przelyjść do Austrie. A jak jusz bydziesz w Austrii, to do mie bydziesz miol niedaleko. Jo ciebie i twoi rodzinie pomoga. Pamiyntej ło tym.

ZYNEK:

Te piniondze niy wezna, bo żech je niy zarobiył.

JORG:

Bier, synek, bier, bo tyn medal je 25000 Mark wert.

ZYNEK:

Wiele???

JORG:

Słyszol żeś, bestosz wom sie należy.

(Zynek biere piniondze do kapsy i nelonbojtł s bombonami)

Niy godej fatrowi, żeś wzion łodymie piniondze. Jo jusz jada do Rajchu, ida się ino pożegnać z twojom matulom. Auf Wiedersehen, Zynek.

(Jorg wyłazi, po chwili do izby włazi Ziga i godo)

ZIGA:

Czekol żech, asz sie pódzie. Trocha mi zol, ale tak bydzie lepi i mom nadzieja, że nosz Welt sie niy zmieni skuli niego, pra synek?

(Zynek nic na to niy pedzioł)

Ritterkreuz – Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego

EK II – Krzyż Żelazny II klasy

Wszystko, co żech sam napisoł, je prawda. 25 Ślonzoków dostało

Ritterkreuze, w tym Tyczka, kiery zmiyniył miano na Tannert.

KARLUS NIY Z TYI ZIYMI

Leszek Sobieraj

OSOBY

KRISTA – żona Rudiego

RUDI – mąż Kristy

WERKA – ich córka

DZIADEK HAJNEL – ojciec Rudiego

SCENA I

*Sypialnia. Półmrok. Widać małżeńskie łóże, szafę, nocne stoliki.
Nad łóżkiem makatka z krzyżem i widokówkami. W łóżku Krista i Rudi.*

KRISTA:

Dej mi pokój i weź ta noga. Niy chca dzisio żodnego ciuciano. Jak pomyśla, że jutro nasza Werka przidzie z karlusym, to mi się wszyskiego łodych-ciywo. Przeca wcale niy wiemy, co to za jedyn.

RUDI:

Przestoń. Pryndzyj czy późnij i tak jakiś synek by z niom prziszeł. Jo-żech tyż przeca kiedyś szeł do twoich starych piyrszy roz i po prowadzie tyż wszyscy byli nerwowi. Zresztom twoja matka do dzisio je nerwowo, jak mie widzi.

KRISTA:

Ale że Werka nic nie pedziała wto to je? Chachor to na pewno żodyn być ni może, bo sztydukuje razym z niom. Musi to być mondry karlus. Ale czy porzondny? Boże, co za utropa...

RUDI:

Jako utropa? Przeca dziółcha mo już swoje lata. Synek przidzie, pogodomy, zoboczmy, co za jedyn. Zrobisz kawa, kołocz momy. Co wiyncyj trza? Gozroły jeszcze niy byda łotwiyroł, dopiero jak się pokoże, że się karlus nado.

KRISTA:

Ale łona nic nom ło nim niy godała. Ino tela, że je fajny, że miyszko w akadymiku, mo dwie siostry, na imie mo Robert i że je z Katowic. Ino tela ło nim wiym. Niy mogła se napasować choćby tego Zynka łod Fuksów? Wszystko by my wiedzieli. Synek patrzył za niom w kościele, na drodze, niejedyn roz godali. I chcioł jom wzionć na wesele łod jego brata. A łona nic – pedziała, że niy pódzie.

RUDI:

I dobrze. Widać mo dziółcha poukłodane w gowie. Zynek Fuks? Przeca jego łojciec to ino „U Edka” na piwie przesiaduje. A wejrzij na matka – chudo jak patyk, skora i kości i tako nieszczynśliwo. Widziałaś, żeby sie kiedy śmiała? I Werka mo wlyż do takij rodziny? A Zynek wtoryś roz robota zmiynio. Przeca mog robić na grubie, ale niy chcioł. Dej pokój.

KRISTA:

Może i mosz prawie... A do tego jeszcze drugo starość. Tyn twój łojciec. Przyjechoł do Polski i chce tu łożać. Czamu niy wraco nazod do Rajchu? Trzidziści lot tam miyszkoł, mo tam pyndzyjo, miyszkanie, a tu, żyjemy na kupie.

RUDI (*obraća się na bok*):

Niy narzykej. Geld mo, płaci za wszystko i jeszcze nom coś do. Może se nowe auto kupiymy... No i coły czos bawi się z Pyjtrym, jak ino przidzie ze szkoły. Fanzoli mu i bajdurzy o starym Ślonsku. Dobrze, żeby młody wiedziol, jak to downij bywało, bo tego z książek sie niy nauczy.

KRISTA:

A wiysz ty, ło co sie mie Pyjter dzisio spytoł? Kiedy opa umre?

RUDI (*odwraca do niej głowę*):

Czamu?

KRISTA:

Bo mu starzik pedzioł, że już stond niy wyjedzie, że przyjechoł na Ślonsk umrzeć. Babka Hela tam pochowoł, ale łon tam nie chce być zakopany. I mały tak się tym przejon, że beczoł, bo niy chce, żeby opa umar.

RUDI:

No to mu trza pedzieć, że opa ino tak godo.

KRISTA:

Som mu to pedzioł, ale Pyjter i tak go bez cołki tydziyń niy łopuszczoł ani na meter, a jak szel do szkoły, to mioł maśklate łoczy, bo się boł, że jak go niy bydzie w chałpie, to my dziadka zakopiymy. Godom ci – momy beksa! Po kim łon to mo, mazok jedyn? Ale co tam Pyjter. Niy wiym, co momy zrobić z naszom Werkom.

RUDI:

Co momy zrobić? Bydzie, co mo być.

SCENA II

Kuchnia. Za stołem siedzi Rudi, mężczyzna w wieku około 45 lat, w piżamie, i pije piwo. Wchodzi Werka. Około 20 lat, drobna, krótkie, czarne włosy. Ubrana w dżinsy i granatowy płaszcz.

WERKA:

Cześ tato. Niy śpisz?

RUDI:

Niy, matka pedziała, żebych jyj niy zawracoł głowy, ino poszeł do kuchni i na ciebie czekoł. Dziadek śpi, Pyjter u niego w izbie tyż... Ni ma z kim pogodać. Toch se łotwar piwo i myśla.

WERKA:

Na pewno ło tym, że Robert jutro przichodzi.

RUDI:

Tak po prowadzie to dzisio, bo jest już fest nieskoro. Wiysz, matka sie nerwuje, co to za karlus. Spotykocie się, łazicie do kina, na dyskoteki, a łona go niy zno. Jakbyś miyszkała w akadymiku, nie musiałybyś ło nim na razie nic godać. A tak? Matka sie nerwuje, bo chce wiedzieć, z kim się spotykosz. No i jo tyż.

WERKA:

Łona się zawsze nerwuje... Ale tera jo tyż się trocha nerwuj, bo niy wiym, co bydzie godać, jak Robert przidzie.

RUDI:

Mosz, weź se amoloka.

WERKA:

Nie chca. Wola trocha piwa. *(nalewa sobie i siada za stołem)*

RUDI:

Powiesz mi coś ło tym karlusie?

WERKA:

A co tu godać? Fajny synek, dobry i mondry. Łojcow tyż mo porzondnych i powiym ci, że doś bogatych. Majom trzi restauracyje w Bielsku, Krakowie i jeszcze bar w Katowicach.

RUDI:

Co ty niy powiesz? Byłaś tam?

WERKA:

No przeca. We wszystkich my jedli i wos tyż pewno zaproszom. Mo dwie siostry i každo mo swoja restauracjo. A Robert niy chcioł, wołoł się uczyc jak jo – informatyki. Ale musza ci pedzieć, że je lepszy łody mie. A angielski i niemiecki zno perfekt.

RUDI:

O, niemiecki! To se z dziadkiem pogodo. A ty wiysz, że opa już niy chce do Nymiec nazod jechać? Pedzioł Pyjtrowi, że przijechoł tu umrzeć.

WERKA:

No i dobrze. Co tam bydzie som siedzioł, tera, kiej babka umarła. Tu my się nim zajmujemy, placu w chałpie jest doś.

RUDI:

Prowda. No i pyndzyjo mu w Nymcach odkłodajom na konto. Jak roz za kiedy sie tam pokoże, to chyba styknie?

WERKA:

Tata, a co Robert mo prziniiś. Kwiotki, gorzoła?

RUDI:

Kwiotki do Kristy niech prziniesie. Fajnie by tyż było, jakby mioł flaszka gorzoły, ale to sie może matce niy spodobać. Może wino? Wina sie Krista na pewno napije. Zawsze wspomino, że jak piyrszy roz do twojij kuzynki Maryjki prziszeł Gynek, to prziniosł wino, kwiotki i wielko bomboniera, w kieryj były trzidziyści dwa bombony!

WERKA:

Ale przeca potym zostawił jom z dzieckami i poszeł do jakijś baby, z kiero-
rom robił.

RUDI:

Prowda. Ale widzisz, matka do dzisio godo, że elegancki był i gest miał.

SCENA III

Pokój. Gęsta firana w oknie. Przeszklona szafa z kryształami. Na ścianie wielki płaski telewizor. Na środku, na dywanie – stół i kilka krzeseł. Talerze z ciastem, zastawa do kawy, pusta butelka po winie, kieliszki i wielki bukiet kwiatów. Za stołem siedzi Krista – pani po czterdziestce, ubrana w białą bluzkę i jasny kostium. Obok dziadek Hajnel – starszy mężczyzna, w ciemnym garniturze, białej koszuli i krawacie. W ręce trzyma laskę. Po drugiej stronie stołu – Rudi. Ubrany w jasny garnitur, koszula rozpięta pod szyją, poluzowany krawat. Obok niego stoi Werka w kolorowej sukience.

KRISTA:

Werka, czamuś nom to zrobiła? Cyganiłaś we wszystkim! Ślonzok, ja? I katolik? Boże! Ale jo żech coś czuła, coś mi godało, że ty nom jakoś gańba zmajstrujesz.

RUDI:

A zaroz tam gańba. Niy słuchej jom, Werka. Wielkie mi mecyje. Synek grzeczny, inteligynntny, a po naszymu godo lepij niż niejedyn Ślonzok. I co z tego, że Chińczyk?

WERKA:

Niy Chińczyk, tato, ino Wietnamczyk.

DZIADEK HAJNEL:

A! To bitny naród! Tak jak my, Ślonzoki. Pamiyntom, jak za Niksona...

KRISTA (*wstaje i chodzi przy stole*):

Prześcōńcie. Wszystko jedno – Chińczyk czy niy Chińczyk. Niy nasz przeca, nawet niy Polok. I ty chcesz sie z nim łożynić, mieć dzieci? A co ludzie bydom godać, nie pomyślałaś ło nos?

WERKA (*zwraca się do matki i gestykuluje*):

Jeszcze żodyn ło weselu niy godo, ino ty. A pomyślałaś o jego matce. Tyż je Ślonzoczka, z Katowic. Zakochała się w jego tacie i som szczynśliwi. I som bogaci! Niy miyszkajom w staryj, waloncyj się chałpie, ino w nowyj. I majom jeszcze chałpa w Ustroniu. A wiysz, jakim autym jeżdżom? Na pewno niy takom starom skodom. I wszystkim, co godali, gymby sie same pozamykały. A mie bardzo lubiom. To porzondno katolicko rodzi-na, do kościoła chodżom, w naszego Boga wierżom.

RUDI:

Szczynście, że niy we wietnamskiego.

WERKA:

Przestołbyś błoznować, tato.

RUDI:

Werka, po prowdzie synek mi się podobo. Może za gryfny to łon niy jes, ale chłop gryfny być niy musi.

DZIADEK HAJNEL:

Prowda. Jak zech fedrował na Hałymbie, to był tam taki Gynek Dudlok. Kar-lus dobry, ale szpetny, jak jakiś pieroński podciep. I tyż taki mały kurdupel.

WERKA:

Dziadek

DZIADEK HAJNEL:

No, wybocz, ale łon był jeszcze myjszy łod tego twojigo. Chudy, nos miał długi, krziwy, kudły rozczochrane i rynce jakieś za dugie. Jak je spuścił na doł, to były aż do kolan. I wycie co? Łożył się z nojfajniejszyżom dziół-chom w cołych Kochłowicach. Do dzisioj myndykuja, co łon miał taki-go, czego jo niy miał.

SCENA IV

*Sypialnia. Półmrok. Widać małżeńskie łóże, szafę, nocne stoliki.
Nad łóżkiem makatka z krzyżem i widokówkami. Rozmawiają Rudi i Krista.*

RUDI:

I co, przeszło ci?

KRISTA:

Niy. Cołki czos ło tym myśla. Jak my to wszystko przeżyjemy, Rudik. Co powiay ciotka Waleska?

RUDI:

Przestoń z tom Waleskom. Co to – papiyż jakiś, że bydzie godać, jak momy żyć? Jakby to było downij, to bych się może tyż przejmował. Ale teraz? Wejrzij ino, co sie na Ślonsku porobiło. Tych zagraniczników bydzie u nos coroz wiyncyj. Wszystko sie wymiyszało, a jo padom, że gorsze to nos dopiyo czeko, bo tak po prowdzie to Europa do nos jeszcze niy prziszła i niy prziszeł jeszcze Wschod. Ale to się kiedyś stanie. Dziadek godoł, że idzie czasami na spacyr po Dortmundzie, to niy wiy, kaj je. Murziny, Turki, Chińczyki. A jak wloz do jakiś knajpy, to ino słyszał polsko godka. Myśla, że do nos tyż tyn świat przidzie. Już tera, jak my byli na tych studiach u Werki, to pamiyntosz, wiela tam było tych zagraniczników?

KRISTA:

Wiy, wiy. Ale jo niy myślała, że nos to spotko.

RUDI:

Ni ma co godać naprzod. Niy wiymy, czy z tego coś bydzie. A choćby nawet prziszło do żyniaczki, Krista. Nie bydzie źle. Jego starzi majom trzy knajpy, na starość z głodu nie umrymy. Ty, a to może być nawet fajne – ja-dłaś już kiedy ślonsko rolada po... wietnamsku?

KRISTA:

Rudi, ciebie się zawżdy wice trzymajom. A jo godom serio. No bo powiysz, ino tak szczyrze – co je gorsze? Ziyńć z Wietnamu czy z goroliji?

KOŚCIOŁOWE DŹWIYRZE

Lidia Michalska

OSOBY

STARY SŁOWIK – w roboczych galotach, trzymie jakiś klamory i pyndzel

PROBOSZCZ

KOŚCIELNY

GOSPODYNIA MARTA

*Najbliższe otoczeni wiejskiego kościoła, trocha z dalsza widać też cmyntorz.
I kościół, i cmyntorz raczyj stare. Odznaczajom sie widoczne z daleka
kościółowe dźwiyrze – wielki, słoszne, rzeźbione i stare. Z kościoła
wychodzm Kościelny i Proboszcz, chyba po mszy, ale ksiondz już
bez sutanny, w rynce trzimo brewiarz. Kogoś widzom z daleka.*

KOŚCIELNY:

Zaś stary Słowik idzie! Tyn chłop to jednak mo zdrowi, nie idzie pedzieć!

KSIONDZ:

Ciiiiicho bydziecie, panie kościelny, ciiicho, dyc niech idzie, co wom to szkodzi!

KOŚCIELNY:

A dyc on już ledwo tymi nogami wlecze! Kiedy nom tu jeszcze te nogi wy-
ciongnie i dopiyo wtedy bydymy mieli, oboczy ksiondz.

KSIONDZ:

A dyc co mu bydziecie żałować, dyc niech se idzie!

KOŚCIELNY:

Ja, ale to znaczy, że zaś nic nie załatwiymy dzisio, ni? Zaś trza czekać?

KSIONDZ:

Ja, tak trza! O... Szczęść Boże, panie Słowik!

SŁOWIK: *(starszy człowiek z narzyndziami, z pyndzłym, w arbajtancugu, ale ledwo idzie)*

A, pochwalony, piyknie witom ksiyndza proboszcza! Co, myśleliście, że już nie przida, że mie już ta kostucha zebrała na tamtyn świat?

KOŚCIELNY:

Ale co też to godocie, dyc z was jeszcze chłop jak trza, wyście yno sześć lot ody mie starsi!

KSIONDZ: *(przez cały czas tej godki to siodo na murku, to se drepcze abo stoi)*

Jaaa, kaj też na tamtyn świat, dyc kto by mi tak w kościele piyknie śpiywoł z chóru, jakby starego Słowika brakło!

SŁOWIK: *(godo, ale pomału zabiyro sie przy tym do roboty)*

Ja, wyście, ale już też źle było zy mnom, ogromnie źle, już tam nady mnom dochtory głowami kiwały, drugi zawał to je coś! Już myśleli, że z tego szpitala nie wyleza, bo też po prowdzie myśleli, że ni mom po co – moja Angela już 10 rokov na mie tam czeko, toby mie już na tamtyn świat sie i śpiychało, ale te dźwyrze, te kościołowe dźwyrze – jak zech obiecoł, że je naprawia, to mie ani tamtyn świat ni ma miły. Zawsze tak bywało, jak Słowik co obiecoł, to było – schody, gelyndry, dźwyrze, meble, a i łokna, póki tych gupich nie powymyślali. No a teraz jeszcze zech se na starość obiecoł te dźwyrze posprawiać!

KOŚCIELNY: *(siodo na schodku przed kościołym)*

A chce sie wom tak? Dyc też już swoi lata mocie? Nie lepij to na telewizor pozaglondać?

SŁOWIK:

Dyc sami żeście przed chwilom padali, że wcale zech taki stary zaś ni ma. No a te dźwyrze dokończyć musza! To je gańba, żeby tako porzondno parafia taki bele jaki dźwyrze miała – stare, bo stare, ale zniszczone być ni mogom. Dyc to je gańba na nas wszystkich, dyc to jest nas wszystkich kościół. No, a jo, stary stolorz, wiyem, co trza zrobić, żeby zaś piykne były!

KSIONDZ:

To co żeście dzisio, panie Słowik, prziniyśli do roboty?

SŁOWIK:

Jaaa, już wom godom, dyc dzisio już yno koniec mo być, ostatni lakier położyć na tym małym konsku i koniec, zaś bydom jak nowe, godom wom. Oczy juz nie te, ale stary stolorz zy mie, znom sie na swoij robocie! Yno

mie to beztyż bardzij miało, boch sie do szpitala dostał, i taki konsek roboty mi zostł.

KOŚCIELNY:

A nie lejpij to nowe było kupić, pozbiyrać sie miyndzy ludziami i świyn-ty spokój?

SŁOWIK (*trocha znerwowany, na chwila przerywo robota*):

Wy yno nowe i nowe – wy tak jak moj synek godocie, on też zawsze yno nowe i nowe – nic co stare mu sie nie podobało: jak boł młody, to yno sztyjc nowe galoty, nowe szczewiki, nowo koszula mu kupuj. A potym – potym to nowe auto co chwila, a wycie, co potym: wymyśłł se, że nie bydzie – jak to padoł – w tej starej budzie miyszkać, yno se nowo postawi! W tej chałpie, co my jom tak procznie do naszych dzieci z Angelom stawali! Że niby za staro!

KOŚCIELNY:

Poczkejcie – jako to z nim było? Dyc on pojechał kanś?

SŁOWIK:

Ja, ani nie godejcie – osmy rok w jakiś tam Irlandii czy innej Anglii siedzi i na ta swoja nowość zarobio. Yno dalij w jednej chałpie z cztyryma innymi rodzinami miyszko i wynajmuje. Godo, że na przyszłość zbiyro – a dyc jego tam przyndzyj co trefi, niż na ta przyszłość uzbियो! A tu chałpa jak malowano – nowe płoty, dach niestary, łokna my z Angelom wymiyniali! A, szkoda godać, dziwać sie yno, kiedy baba na nowszo se wymiyni, że niby ta piyrso za staro bydzie!

KSIONDZ:

A dyc tak na niego nie pomstujcie – przecież przijechoł, jak żeście w szpitalu leżeli!

SŁOWIK (*jak zaczyno godać, przichodzi gospodyni proboszczowa i podparto pod boki słyszy, co chłopcy godajom. Kole nij koszyk z towarym, chyba idzie ze sklepu*):

Jaaaaa, na całe trzy dni – i nic, yno mi godoł, jak tam u nich dobrze, jako on se chałpa nowo postawi. A dyc mu godom – to jak żeś ty taki za tom nowościami, to idź ty, rozwol tyn zamek we Krakowie, bo to tyż stare jest. A w Rzymie wiela tego do burzynio – tyż wszystko stare, dyc idź, postow nowe! No to się obraził i pojechał nazod, ale dobrze godom, ni?

GOSPODYNI MARTA (*fest głośno, aż sie proboszcz krzawi*):

A dyc jasne, że dobrze godocie! Zy mie też niemłodo baba, a jako zech jeszcze szykowno, ni? Dyc bych sie jeszcze wydać mogła – i oprać, poprzonąć, uwarzić jeszcze poradza, wartkoch jeszcze jest jak trza, żyć, a nie umiyrac! Dyc bych sie jeszcze i za naszego Słowika wydać umiała, a co, nie chciolby mie?

KSIONDZ (*żegno sie*):

Co też to pani, tak przed samym kościołym, dyc to tak nie pasuje....

KOŚCIELNY:

A co nie pasuje, dyc przidałaby mu sie tako Marta w doma, jego Angela już tela lot na tamtym świecie, może by i se z tymi dźwyrzami odpuścił!

SŁOWIK:

Z dźwyrzami se nie odpuszcza, dyc yno skuli nich mie jeszcze ta kostucha ze sobom nie zabrała – też by jej gańba było, żeby tako porzondno parafio taki bele jaki dźwyrze miała w kościele – a tak sie pomaluje, wyschnom i jak nowe bydom.

KOŚCIELNY:

No, ale wy nom lepij powiydzcie, co z tom Martusiom gospodyniom – chcielibyście mieć tako baba, patrzecie, jako ona jeszcze szykowno – włos jeszcze ciymny, ni ma za chudo, baba jak trza!

SŁOWIK:

Mie już tam na zawsze yno ta jedna Angela pisano, ona już mi tam miejsce u śwyntego Piotra trzimie. Roz dwa sie kole nij w grobie położyć, yno sie śpiychom, bele te dźwyrze skończyć!

KSIONDZ:

Co też to godocie, zodyn nie wiy, wiela mu pisane życio – czasym młody straci sie roz dwa, a czasym starymu mierźnie sie już aż to życi, a umrzeć nie umi, to ni ma na zawołani – każdy z nas może sie stracić przed pany. A pani Marta niech se tu lepij prisiednie, odpocznie od tego upału.

SŁOWIK (*siodo na schodku*):

A i jo se siedna, odpoczna – tak ksiondz piyknie padali, że mi sie zaroz moja Hanusia przypomniała, aż mie coś kajś przy sercu ścisko!

KSIONDZ:

A dochtora wom nie trza wołać? Wyście chyba trocha za pryndko na nogi stanyli!

SŁOWIK:

Może i ja, ale tu odpust wnet, a dźwiyrze niegotowe, jako to tak?! A serce mi chyćło za tom mojom Hanusiom!

KOŚCIELNY:

Ja... Wiele to już bydzie lot?

SŁOWIK:

A czy to ważne, dyć to nieważne, do mie to je jak wczora. Tako szykowno dziółcha była – włosy w dwa warkocze zawsze Angela robiła, potym czasy rozpuszcziała. A jaki dobre, jaki mondre dziecko to było, jak się dobrze uczyła! Jaki jo boł dumny, że ona ta cała matura tak dobrze zdała, na studia miała iść, już nawet egzaminy pozdowała aż do samego Wrocławia. Jo boł zawsze za tym, żeby ona się uczyła, chociaż to dziółcha – to już bardziej Angela wołała, żeby jej jakiego fajnego synka poszukać, żeby robotny boł, na grubie robił, zadboł o nią. A ta nasza Hanusia nic yno studia i studia, a jo też boł za tym... Jo wiedziół, że ona wysoko zondzie.

KSIONDZ:

Mondre dziecko musiało być...

SŁOWIK:

Jaaa, yno wiyy ksiondz... Tak se myśla czasym, że jakby jo jom tak do tej nauki nie gonioł, jakby nie matura, nie egzaminy, to może by jom ta choroba nie dopadła, może by jom tyn rak nie zniszczoł, może by żyła – a tak pół roku i po człowieku!

KSIONDZ:

Tego nigdy ni możecie być pewni, dyć sami żeście padali, że ona miała wysoko zajść – to zaszła najwyżej, jak sie do, ona już tam kole waszej Angele w niebie!

SŁOWIK:

No ja, bo to było dobre dziecko, ona by z ojcem w chałpie została...

GOSPODYNIA MARTA:

A dyć przestoncie już, dyć jo sie tak spłakała przy tej waszej godce, jo jom tak jakby widza – te dwa warkocze, uśmiech, i zawsze wartko, zawsze gibko, zawsze do ludzi...

SŁOWIK:

Jo jom tak widza co dziyń... Ja, bo wyście moij Hanusie znali, dyc wyście też tutejsi.

KOŚCIELNY:

Ja, nasza Marta jest tu downij niż tyn nasz kościół, niż szkoła, niż tyn cmyn-torz! Ni mog by też jom pan, panie Słowik, trocha ponaprawiać, pomalować, co załotać, tak jak te kościółowe dźwyrze?

SŁOWIK (*wraca do roboty*):

Ja, właśnie dźwyrze, chytom sie tej roboty, już się trocha lepij czuja! A wy se, Marto, docie tak dogadywać?

GOSPODYNi MARTA:

A dyc na plecach mi to nie urośnie! Szykowno to jo za młodu była: okrągło, lica czyrwone, włosy czorne, ani świdrato, ani brylato, dziołcha do tańca i do różańca!

KOŚCIELNY:

Toż aż dziw, czamu sie Marta nie wydała za jakigo karlusa?

GOSPODYNi MARTA:

A, wydała by sie, wydała, yno tatulek ogromnie zmierzli byli: tyn mu nie pasowoł, że za biydney, tyn za szykowny, tyn rudy, tamtyn gorol, no i żech została sama, boch za posłoszno była. Ale nie narzekom, mom co robić, na farze zawsze sie coś do roboty znojdzie!

SŁOWIK:

To tak jak jo – po śmierci Angele toch se myślał, że już umrza – ale jak była trzidziestodniowo po jej śmierci, toch sie tak przjrzoł tym dźwyrzom, jako stary stolorz – nie dało mi spokoju, żeby tako wielko parafia taki dźwyrze miała. No, a jak żech se postanowił, że je musza posprawać, to żech sie zaroz lepij poczuł i dziynkować Bogu – doł mi je ponaprawiać do końca!

KOŚCIELNY:

Aż strach pomyśleć, czego sie teraz nasz Słowik chyci...

SŁOWIK:

A, teraz to już moga sie do śwyntego Piotra wybiyrać, widzicie – właśnie żech pyndzel odłożoł. Ancug czorny w razie czego prziszzykowany, szcze-

wiki też, koszula wybiglowano, piniondze na pogrzyb odłożone. Teraz to yno poszukać kogo, żeby w razie czego do tego moigo synka zadzwonił. No, a teraz yno Najświynszej Paniynce dziynkować, że mi tak pozwoliła ta robota dokończyć, coch se obiecoł.

KSIONDZ:

Ja, ja – dobrze godocie, dyc to juz połednie dzwoniom, Anioł Pański trza rzykać!

(wszyscy stowajom)

SŁOWIK:

Ja, yno sie podeprza, bo coś mi się tak ciynżko dycho!

KSIONDZ:

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi.....

(Słowik chyto sie tak przy sercu i sie przewraco)

GOSPODYNI:

Słowiku, Słowiku, co wom to, ludzie, ludzie, dyc on nic nie dycho! Do-
chtor! Pogotowi! Dzwoncie, wołejcie!

KSIONDZ *(pogłondo na niego, żegni sie)*:

Ja, jemu już dochtor nic nie pomoże, on już swoi na tym świecie zrobił.
Jemu już yno „Wieczny odpoczynek” zmówić zostało!

*(proboszcz rzyko nad Słowikym, gospodyni też rzyko. Kościelny
łodchodzi pora krokow dalij, wyciongo telefon i dzwoni kajś)*

KOŚCIELNY:

Panie Klyta, moglibyście dzisio przjechać? Ja? To dobrze! A on... Już po
nim, już mu nic nie pomoże. No to godocie, że te nowe dźwiyrze na od-
pust bydom, ja?

(schodzi pomału, ale jeszcze słychać, że godo dalij).

BAUPLAC

Ryszard Bednarczyk

Hotelowy pokój elegancko wyposażony w meble i sprzęt rtv. MĘŻCZYŻNA, siwowłosy, około pięćdziesiątki, w garniturze, jest niespokojny, wygląda przez okno. Nerwowo zerka na zegarek. Rozlega się pukanie do drzwi. MĘŻCZYŻNA podchodzi i otwiera. W progu staje łysawy MĘŻCZYŻNA po czterdziestce, w wiatrówce, swetrze, dżinsach i adidasach.

STARSZY BRAT:

Witej. Widza, żeś przyszoł.

(Wpuszcza gościa do środka)

MŁODSZY BRAT:

Chciołeś, toch przyłożł.

(Niepewnie rozgląda się dokoła)

Moga sie kajś siednąć?

STARSZY BRAT:

Siadej kaj chces, jakżeś już prziszoł. Dom ci piwa?

MŁODSZY BRAT:

Skond wiys, że chca piwa?

(Ośmielony siada w fotelu przy stoliku)

STARSZY BRAT:

Jo cie dobrze znam.

(Wyciąga z lodówki butelkę i stawia na stoliku obok pustej szklanki. Siada w drugim fotelu)

MŁODSZY BRAT:

My sie tyła lot niy widzieli, że sie już blank nie znamy. Boś mnie wcale niy chcioł znać.

(Z żalem w głosie)

STARSZY BRAT:

Chopie, co ty godos. Ty żeś się do mnie nie łodzywoł, aniś niy pisoł, aniś niy dzwoniol.

(Oburzony)

MŁODSZY BRAT:

U nos telefony drogie, a na tyn piyrwszy i łostatni listek do dzisiej nie mom łodpowiedzi.

STARSZY BRAT:

Jo żech nigdy nie dostał żodnego listka łod ciebie.

MŁODSZY BRAT:

Widać ta waso niymiecko poczta mocie do bani.

(Otwiera butelkę i wlewa piwo do szklanki)

STARSZY BRAT:

Bydymy sie zaś wadzić. Tyla lot my się niy widzieli ani niy godali.

MŁODSZY BRAT:

Boś niy chcioł, inoś uciykł choby scur. Sztambuch, co jest łod cały rodzi-ny, żeś wzion, innym niy doł.

STARSZY BRAT:

Boś niy chcioł. Tyś boł wielki Polok, do zaprzańca niy chcioł żeś sie przyznać.

(Z pretensją w głosie)

W Polsce łostołeś, boś mioł baba z Kieleckiego.

MŁODSZY BRAT:

Downoch jom pociep, bo motyka boła i bajtla mi zebrała do siebie. A do ciebie jo bych sie boł przyznoł, ino niy miołech okazji. Przyznołbych sie i do volkswagena, i do pakietu, inoś go ani roz nie posoł, nawet na Dzieciontko, jedny niymieckiej szokolady.

STARSZY BRAT:

Niy godej gupot. Jo posyłoł, ino u wos sam na poczcie pakyty łokrodali. Żoł było posyłać. A potem żech adresu niy znoł.

MŁODSZY BRAT:

Tyś zawsze umioł fajnie cyganić. Skond żeś terozki mioł moj adres?

STARSZY BRAT:

Spotkołech jednego karlusa w Niymcach, co cie znoł z gruby, i mi pedzioł, kaj miyszkosz.

MŁODSZY BRAT:

Kiery mnie znoł w Niymcach?

STARSZY BRAT:

Erwin łod Fleiszerów, co na dole z tobom fedrowoł.

MŁODSZY BRAT:

Jasny pieron. Łon tyż uciyk, kiedy łon to zrobiol?

(Sięga po szklankę i pociągga spory łyk. Patrzy na etykietę na butelce)

Niymieckie, najlepse, aby terozki się napija.

STARSZY BRAT:

Jak się wszystko sam połobrocało, somżeście w Unii, to terozki niymieckie wom się podobo.

MŁODSZY BRAT:

Jo jest Niymiec, taki jak ty. Po jednym łojcu my som, co na Ost froncie zbiyroł po rzici i niymieckij rynty niy doczekoł.

STARSZY BRAT:

Bo my Ślonzoki zawdy som prani po rzici, kaj by my niy byli.

MŁODSZY BRAT: *(Zaciekawiony)*

To cie Niymcy pierą?

STARSZY BRAT:

Tak jak ciebie Poloki.

MŁODSZY BRAT:

Mosz recht. Fest żech dostał sam w tyj Polsce po gymbie. Bez roboty łostołech, bo gruba zawarli. Na hołdy musza łązić, wyngiel wybiyrać, abo na tory z cuga wysypać. Szandary nos goniom. U wos na socjału ludziom sie lepij żyje niż u nos za pynsyjo. Pieron by to szczeloł.

STARSZY BRAT:

Pryndzyj ciebie szczeli. Trza boło zy mną za Gierka uciekać. Terozki niy ma po co. U nos tyż cinyńko. Enerdzioki się cisnom jak gorole do lekkiej roboty. Ale jo się mom dobrze, tyła lot tam żech jest, to mom dobrze. Ale ty, chopie, niy miołbyś tam co terozki szukać.

MŁODSZY BRAT:

Fajnieś mnie pocieszył. Dziynkuja ci.

STARSZY BRAT:

Tako jest prawda. Zagapiołeś się.

MŁODSZY BRAT

Tyś zawdy wiedzioł, na kierego konia skoczyć i nigdy karku niy złomoł.

STARSZY BRAT:

Trza mieć w życiu szczyńście i mu pomóc. Niy to co ty. W drzewianym kościele ci dachowka na łeb sleci.

MŁODSZY BRAT:

Niy bydź za mondry, bo ci sie jesce może storbić.

STARSZY BRAT:

Gorzyj łod ciebie nie byda mioł. Moja dziółcha na niymieckie studia poszła. W Norwegii lodowce łoglondo. Bydzie naukowcem. Piyrwszo w rodzinie, co niy bydzie łod ciynżkiyj roboty. Jo mom firma budowlano, na robia sie, ale mom cosik z tego. Baba tyż mom udano.

MŁODSZY BRAT:

Boś jom z Polski zebroł. To ta frełka z warkocami łod Przibilków. Gryfno dziółcha boła i robotno. W Reichu byś takiyj niy znolożł. Tamte frojlain ino łobiady z puszek umiom uwarzić.

(Przygnębiony sięga po piwo. Pije długo)

Dolbyś trocha tyj dobroci bratu.

(Błagalnym tonem po odstawieniu opróżnionej szklanki)

STARSZY BRAT: *(Zaczeplnie)*

Skond ty wiysz, widziołeś, bołeś?

(Zmienia ton na widok zasmuconego brata)

Dom ci drugie piwo, ino mi się sam niy łozrij.

MŁODSZY BRAT:

Dej. Gowa jesce mom mocno.

Starszy brat wstaje i wyciąga butelkę z lodówki.

Stawia na stoliku przed bratem. Znowu siada obok

MŁODSZY BRAT: *(Otwiera butelkę. Nalewa do szklanki i wypija połowę)*

Bydzie coś z tyj pomocy, bo jak niy, to ida. Łozrić to się moga i na hołdzie.

STARSZY BRAT:

Jo niy musa ci pomagać. Tyś jest całkiem bogaty. Mosz coś, co jo moga łod ciebie kupić.

MŁODSZY BRAT: *(Zdziwiony)*

Jo? Jo mom ino goło dupa.

STARSZY BRAT:

Posłuchaj teraz dobrze. (*Patrzy bratu prosto w oczy*) W Pniowcu został bauplac po matce. Ino jo i ty mamy do niego prawo. Pamiyntos pod samym lasem, za stawem, fajny konsek ziymi. Teraz idzie tam budować, bo kanalizacja, wodociąg i gaz razem z drogą podciągają. Idzie trochę za to dostać. Mamy to na pół.

MŁODSZY BRAT:

A ja myślałem, że fater to downo przepioł.

STARSZY BRAT:

Chcioł, ale niy mog, bo to było wiano.

MŁODSZY BRAT:

Ło cie pieron. To my som bogaci.

(*Z radością opróżnia szklankę*)

STARSZY BRAT:

Ino wiysz, jest jedyn problem, jo żech płacił w magistracie całki cas podatki za tyn bauplac.

MŁODSZY BRAT:

To było tyła co nic.

STARSZY BRAT:

Boło, ale teraz to jest wiera pieniyndzy. I wiysz, jo bych się downo przepioł tyn bauplac na siebie, ino niy moga, bo ty się musis zgodzić.

MŁODSZY BRAT: (*Parska śmiechem*)

Aby roz łody mnie cosik zależy. Dej mi jeszcze piwa.

(*Starszy brat ponownie sięga do lodówki po butelkę i kładzie na stolik*).

STARSZY BRAT:

Bydzies miał pełno piwa, cało kista się kupis, ino musis mi cosik podpisać.

MŁODSZY BRAT: (*Podjejrzał*)

Musi być naszrajbowane.

STARSZY BRAT:

Inaczij niy idzie.

MŁODSZY BRAT: (*Popijając następne piwo*)

To pokaż, co to ma być.

STARSZY BRAT *wstaje*. Idzie do szafy. Wyciąga teczkę, z niej zadrukowane pismo.

Kładzie druczek na stoliku obok szklanki piwa.

MŁODSZY BRAT:

Uważaj, bo sie pomocy.

STARSZY BRAT:

Jo ci wierza. Przeczytej sie to.

MŁODSZY BRAT *sięga po druczek. Czyta wolno, poruszając wargami.*

MŁODSZY BRAT:

Sam jes niy napisane, wiela dostana za to zymia. *(Podaje bratu pismo)*

STARSZY BRAT:

Zarozki ustalymy i dopisymy. Wielabyś chcioł?

MŁODSZY BRAT:

Ło kule! Som niy wiym.

(Drapie się zafrasowany po głowie)

Dockej ino, zarozki sie policza.

STARSZY BRAT:

Jo ci powiym, jak bratu rodzonemu. Juź bych downo mioł tyn bauplac, ino w sondzie mi syndzia pedzioł, że musa z tobom tyn spadek przejąć, abo się z tobom dogodać. I jo to juź downo łoblicoł. Wiys, wiela bydzie do ciebie? Tysionc euro.

MŁODSZY BRAT: *(Zdumiony)*

A ty wiela bydziesz z tego mioł?

STARSZY BRAT:

Wiyncyj łod ciebie, ino jo juź trocha piyniynndzy wydoł na rechtswelda, na sztojery i jesce trocha byda płacioł, zanim to bydzie całkiym moje. Wiys, my się z babom chcymy sam przekludzić na starość. Na tym bauplacu chca się willa postawić i tam miyszkać.

MŁODSZY BRAT: *(Patrzy uważnie na brata, któremu w oczach kręcą się łzy)*

Niy wiedziolech, żeś ty taki miynki. Biera tyn tauzen euro, to bydzie na nasze śtyry tysionce. *(Dopija resztę piwa)* Dej jeszcze jedno, chyba mos.

STARSZY BRAT *wyciąga z lodówki kolejne piwo. Kładzie butelkę na stoliku razem z pismem i długopisem, który wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki. Patrzy uważnie, jak brat podpisuje druczek. Bierze pismo i chowa do teczki.*

MŁODSZY BRAT *znowu raczy się piwem.*

MŁODSZY BRAT: (*Ocierając dłonią usta z piwnej piany*)

Terozki dowej szmal.

STARSZY BRAT *wyciąga z teczki skórzany portfel i mniejszy ceratowy.*

Odlicza banknoty, na które z chciwością spogląda

MŁODSZY BRAT. *Kładzie pieniądze wraz z portfelikiem na stoliku.*

STARSZY BRAT:

Mos sam łodliczone tysionc euro. Skryj się do tyj portmonetki. Styknie ci w niyj miejsca, nawet jak wymiynis w kantorze euro na złote.

MŁODSZY BRAT:

(Bierze banknoty i gładzi je pieszczotliwie. Potem chowa do

portfela, który wkłada do wewnętrznej kieszeni wiatrówki)

Tyla piynindzy downoch niy mioł. Łostatnio na grubie, jak mi łodprawa wypłacyli.

STARSZY BRAT:

Widzis, jakiego mos dobrego brata, a tak ześ na mnie charkoł.

MŁODSZY BRAT: (*Potrzęsa przecząco głową*)

Niy, jo ino tak w nerwach godoł.

STARSZY BRAT:

Jo wiem, tyś boł zawdy nerwyjs. Słuchej, jo zarozki byda musioł iść. Wy-lezemy razem, abo sie łosobno pójdziesz?

MŁODSZY BRAT:

Niy byda na ciebie cekoł. Som się pójda. Ino piwo dokońca.

(Dopija resztę piwa ze szklanki)

Pozdrow tam twoja baba łody mnie.

STARSZY BRAT:

Pozdrowia. A ty sie trzimej.

MŁODSZY BRAT *wstaje z fotela i chwiejnym krokiem wychodzi z pokoju.*

Cały czas gładzi portfel schowany w kieszeni wiatrówki na piersi.

Po jego wyjściu STARSZY BRAT sięga do kieszeni garnituru

po telefon komórkowy. Wybiera jakiś numer.

STARSZY BRAT:

Gerdzia, to ty? Jak to skond dzwonia, z Polski. Co tu robia? Załtwiolech ważno sprawa. Bydymy mieli piyniondze z tego bauplacu po mojij matce.

Wiele? Myśla, że tak z pięćdziesiąt tysięcy. Nie złotych, euro. Godzi ci, że będzie tyle. Wielkość do tego łóżkowemu? Stry piwa i tysiąc euro. Jak łobezność była pięćdziesiąt, to zarówki się zgodził. Ja, mój podpis i zgodę. Zrobiłem tak, jak mi poradził nasz radca prawny. To teraz tylko u notariusza muszę załatwić i zarówki potem wrócić. Możesz temu niemieckiemu chłopcu powiedzieć, że będzie miał ten budynek w Oberschlesien, tylko moja firma mu musi dom postawić, jak łobezność. Będzie miał podwójny zysk. Wiem, że on zawsze miał goła do kaszy.

Kończy rozmowę. Podchodzi do okna.

Patrzy na ulicę, przez którą przechodzi jego MŁODSZY BRAT. Cały czas trzymając się za kieszeń na piersi, wchodzi do piwiarni naprzeciwko hotelu. STARSZY BRAT macha ręką z rezygnacją i odchodzi od okna. Zaczyna się pakować.

OPCJO WNUKA

Dariusz Dyrda

OSOBY

KECIATY

W SZAKECIE

BARMANKA

MŁODY

POD BINDRYM

Szynk. Kole szynkwasa stoi barmanka i pucuje szolki. Przy stole siedzą dwa chopy pod Abrahama i piją piwo. Jeden widno, co to niy arbajciorz, ino jakosiko inteligencko zorta. O'bleczony w zamtowy szaket, pode nim polower. Wtóry mo złoto keta, hawajsko hemda.

W SZAKECIE:

No i na co ci to było... Robił żeś na grubie, sam byś o'stoł, to byś już dzie sięć lot bou na pynzyji. A tak bydziesz robił we tym efie jeszcze bez dwa iścia lot. Nië lepij bouo sam o'stać?

KECIATY:

Ja? I co taki grubiorz mo? Ajncla we bloku, starego autoka i heksenszus a prostata! A jo we Nymcach ech sia dorobił. Mom hań fajne miynszkan-ko, a terazki sam żech kupił chałpa ode sąsiada. Tego Bortla, co to umar na hercklekoty. Jeżdża se nowiuśkom vectrom. Na wakacje każdy rok jada na Kanary. I wyglondom na lot bezma szterdziści, a dej pozůr na tych grubiorzy. Ci, kierzy zy mnom robili, som podani na starzików. Nië, za komuny ech pojechoł do Nymiec, ich rod. Ale terazki skludzom sia nazod!

W SZAKECIE:

Tuż jak ci tak dobrze we Faterlandzie, to czamu?

KECIATY:

Padom ci, jada nazod. Dwaiścia piynć lot hań miynszkom, mom wszystko, co duszy potrza. Nale - na co mie prziszło! Gańba a o'studa i tela.

W SZAKECIE:

Nië padej! Co je louz?

KECIATY:

Nië pytej... Moja cera wydowo sia za Turka. Ahmed mu na miano! Byda miou za ziyncia Ahmeda! Bydymy se puszczać briwy, jo a mój ziyńc Ahmed. Jerombol, aże nië poradza strzimać, kiej se spomna.

W SZAKECIE:

Tuż co, Turek taki som Niymiec jako i ty, ha ha ha. Do kupy se we tym Hamburgu miynszkocie, tuż wasze bajtle sia żyniom. Normalno rzecz. A na koniec wielgi rzeczy, briwów spou można puszczać nië bydziecie, ale sie ze ziynciym po niymiecku dogodosz...

KECIATY:

No ja, ale wnuki, wnuki! Moje wnuki bydom jakieś mahometańskie pogany. A jak mi wnuka zamianujom, baji, Mustafa? Jerombol, już widza moja mama, jak jij wieda bajtla i padom: mamu, to je wasz prawnuk, Mustafa...

W SZAKECIE:

Toć, staro Gierlotczyno radzi nië bydom. Nale co ci do, że się sam skludzisz? Dyc cera, eli sia wydowo, to swojego Turka przeca nië o'stawi...

KECIATY:

A nië o'stawi. Dyc zacionżono...

W SZAKECIE:

Tuż nië poradza wymiarkować, o' co ci idzie. Eli i tak sia wydowo...

KECIATY:

Pieronie, pół życio eś do szkół łaził, a żeś gupi jak jako cipka!

W SZAKECIE:

Ciszyj! Jak godosz „cipka”, to barmanka myśli, co godosz o babskim przyrodzeniu.

KECIATY:

Kaj? Jak? Dyc to po polsku, katać u nas we wsi tera barmanka nië wiy, co to je cipka... Dyc czytom we Niymcach po cajtungach, że godka mo być uznano za jynzyk. To jak, kiej nawet nasze ludzie nië poradzom już po naszymu godać? I cipka ni majom za cipka...

W SZAKECIE:

No ja, młodzi przepomnieli. Ale doczkej, ty chcesz godać o godce abo o tym, czamo wracosz curik?

KECIATY:

No, ja. Tuż godom, iżeś niby wybildowany, a gupi jak cipka. Wiysz przeca, że mom jeszcze dwie cery. Młodsze.

W SZAKECIE:

No toć, jednyj żech je nawet krzestnym.

KECIATY:

Tuż widzisz! Do nich trza znoś normalnego karlusa.

W SZAKECIE:

Ale przeca we Niymcach niē inioś Turki miynszkajom. Idzie hań tyż zność Rusa, Hanysa, Greka. A jak dobrze poszukosz, to i Niyzca...

KECIATY:

Ja ja, jo wiym. Inoś idzie tyż trefić Turka abo Araba. Zaś u nas we wsi, a tyż we Pszczynie, we Mikołowie, a i Katowicach raczyj Turka ani Araba niē trefi. W najgorszym przypadku napasuje se gorola.

W SZAKECIE:

Dyć jak żeś miynszkoł we Polsce, toś po gorolach durś pieronił!

KECIATY:

Bo o'ni som pierony. Ale swoji pierony, a Turek je gorol azjatycki, pieron sto razy gorszy. Jedyn mi za zyncia styknie, bez to biera cery wek, na Ślůnsk!

W SZAKECIE:

I o'ne chcom sia przekludzić na Ślůnsk?

KECIATY:

Prowda pedzieć, niē chcom. Ale kiej zrychtuja naszo staro chałpa, kiej otwra som festelny geszeft, tuż przyjadom, przyjadom! Nojprzůd inoś na wakacje. Ale spodobო im sia, to o'stanom. I bez toch poprosił cia na piwo.

W SZAKECIE:

A cuże jo?

KECIATY:

No, ty na pewno znosz roztomaitych fajnych karlusów. Studyntów, młodych prawników, richterów, adwokatów, redachtorów, inżynierów. Kiej moje cery skamracom sia ze takimi synkami, to o'stanom. A kiej trefiom

sia ino grubiorze, huciorze a inaksze mulorze, tuż dziołchy pódóm se na-
zod, nach Deutschland. Hań arbajciorze niě som takie soronie.

W SZAKECIE:

Cheba co się trefi Turek, pra?

KECIATY:

Dej pokój! Tuż pomożesz, abo niě?

W SZAKECIE:

Czyś ty, Rajmund, ogup? Jo ci mom szaców do twojich cer szukać!?

KECIATY:

Ja. Bo jo, widzisz, chca mieć wnuka. Wnuka, kierymu byda, jak mój opa, robił szlojder, a na tyn szlojder godoł „szlojder”. Chca mieć wnuka, kie-
ry jak bydzie groł ze symnom we fusbal, to bydzie wołoł: „Opa, trzi rogi
elwer”. Jo chca mieć wnuki ślůnski, a niě turecki, ani nawet niymiecki!

BARMANKA (*stawiając przed nimi kolejne piwo*):

Tuż jejch musicie szukać we skansénie. Terozki już takich karlusów ni ma.
Szlojder, dzisz go! Cheba co we komputerze bydzie tako gra: e-szlojder na
ptoki! Bydzie ta gumina naciongoł spacjom, a ptoki se dobiyroł ze listy.
Aha, i jo, panie Gierlotka, cipka ođ pitki rozrózniom. Smacznego piwa...

KECIATY:

Podziynkowoł. O, dej pozór. Młodo frela, a jak poradzi po ślůnsku godać.
A ty mi padosz, co takich młodych już ni ma, co niě wiedzom, iże pitka a
cipka to niě je jedno.

Drzwi otwierają się i do baru wchodzi młody człowiek.

MŁODY:

Malc prosza! Ino niě gorki.

BARMANKA *nalewa mu karmi.*

KECIATY:

O, dzisz go. Tyn sia nado! Niě wzion piwa abo sznapsa, inoś malc. Widno
niě o'żyrok. (*do młodego*): Te karlus, podź sam inoś. Co tak bydziesz som
siedzioł. We szynku sia samymu nie siadywo.

MŁODY (*podchodzi, siada*):

To może piyrwyj tak na Ślůnsku bouo. Terozki niě siedniesz se ze o'bcymi,
bo cie spieroniom a tela. Gynał tak, jak we coukij Polsce!

KECIATY:

Toć. Widno, jak nos spolonizowali. Mieli my włosno ślůnsko kultura, a terazki co? We Niymcach wnuk bydzie Mustafa, a sam juże naszymy kultury ni ma. Cipka niź zawołosz, bo bydom myśleli, że za dziolchom, a niź za małom kurkom. Do stoła ze ludziami, co ich niź znosz, niź siedniesz, bo to niź polski zwyk. Spolonizowali nos a tela!

MŁODY:

Co znaczy spolonizowali? Nasze obyczaje bouy trocha inaksze, to prawda, ale Ślůnzoki zawždy byli Polokami! Polokami my byli i Polokami my som!

W SZAKECIE:

Ale! Niź godej. Tuż czamu tela ludziów we spisie pisało narodowość ślůnsko, a tyż ślůnski jynzyk?

MŁODY:

RAŚ im we głowach namiyszol a tela! Jo je Ślůnzok, ale tyż Polok. Ni ma narodowości ślůnskij, ani godki. Je ślůnsko gwara i som Poloki. I szlus. A wto niź je Polok, tyn je zakamuflowano opcjo niymiecko!

KECIATY:

O'boz go, zakamuflowano... A kiej niź zakamuflowano, to co?

MŁODY:

Co?

KECIATY:

Co co?

MŁODY:

Co znaczy niezakamuflowano?

KECIATY:

No dzisz, jo je normalno opcjo niymiecko. Ganc gynał opcjo niymiecko. Mom niymiecki paszport, chałpa we Niymcach, robota we Niymcach, Niymcom kibicuja, jak grajom we fusbal abo hokeja. Ale zech niź je żodyn Niymiec, inoś Ślůnzok. Tak jak mój kuzyn, co go sam widzisz, niź je ani Niymiec, ani Polok, inoś Ślůnzok.

W SZAKECIE:

Choć po prowadzie tyż Niymcom kibicuja...

KECIATY:

No i mosz. Tuż sam widzisz, co my som opcjo ođkamuflowano. Ale Niymcami sia niź czujmy. Polokami tyż niź. To wto my som? Godej!

MŁODY:

Wyście som Poloki, kierym namięszali we gowach a tela. A wy, panie pod ketom, eli wom tak w tych Niymcach dobrze, toście som Niymiec a szlus. Zaś tu je Polska.

W SZAKECIE:

Ino widzisz, synek, o'nymu wcale niē je hań dobrze. Chce sia nazod sklu-dzić. Inoś terozki niē wiy, aby go tacy jako ty puszczom. Skirz tego, co o'n chce wracać na Ślůnsk, niy zaś do Polski.

MŁODY:

Ale Ślůnsk je we Polsce i zawždy we Polsce bydzie.

W SZAKECIE:

Ni mo nic do rzeczy. O'n chce wracać hań, kaj bydzie ze wnukiem szczy-łoł ze szlojdra, hań, kaj bajtle, kiej grajom we fusbal, to wołajom: „Bal na mita” abo „Bal na ausie”. O'n chce nazod na Ślůnsk i szlus.

MŁODY:

A wto mu zakozuje? Niēch se rychtuje szlojdry, niēch se we fusbal gro. Co to mo do bycio abo niē bycio Polokiēm?

KECIATY:

A mo! Mo tela, że Polok szczyło ze procy, niē ze szlojdra. Polok niē dowo bala na mita, ino piłka na środek. Polok niyrod widzi Niymca, a jo Niym-com pszaja. A kiej pija tyski piwo, to pija rod, bo to piwo ze Ślůnska, cho-cia pisze na nim „Tyskie. Z Polski”. Jo, widzisz synek, pszaja Ślůnskowi, bo o'n je mój, a niē skirz tego, co terozki je we Polsce.

MŁODY:

Ale Polska to naszo ojczyzna.

W SZAKECIE:

Padosz? Mój fater pszoł Ślůnskowi, chokia Ślůnsk bou niymiecki, mój opa pszali Ślůnskowi, chokia bou niymiecki, polski, razym niymiecki, a razym zaś polski, a brat mojigo opy, co miynszkoł wele Cieszyna, pszoł Ślůnsko-wi, chokia bou austriocki, a potym czeski.

MŁODY:

Ja! Ale nasi przodkowie się bili o polski Ślůnsk we powstaniach!

BARMANKA:

Prowda pedzieć, u nos zawždy godali, co opa mojigo taty byli we powsta-
niach. Ale kiej my zaczyni sznupać, to sia pokozalo, że o'n sia proł o nie-
zawisły Ślůnsk, a niē o Polsko.

MŁODY:

O! Mom wos! Niby godocie o autonomie, a pokazywo sia, co idzie wom
o państwo ślůnski.

KECIATY:

Jerombol, synek, o jakij autonomie? Jo godoł o szlojdrze, niē o' żodnyj
autonomie.

W SZAKECIE:

Godoł tyż o balu na micie...

MŁODY:

Ale wom państwo polski zawodzo. A Ślůnsk zawždy bydzie polski.

KECIATY:

Jerombol, synek, tyś sia malcym o'żar! Komu sam Polska zawodzo? Jo ino
chca, coby szlojder mianowoł sia szlojder, a niē proca, coby lata boła lata,
a niē poprzeczka, a coby pod tom latom stoł torman, a niē golkiper. O'ble-
czony we treska, galotki a gulery, a niē we tiszirt, spodenki i korki. To je
przeciw Polsce?

MŁODY:

A kiej Polska gro z Niymcami, to komu kibicujecie? A?

W SZAKECIE:

Tak prowda ci pedzieć, synek, to jo Klosemu a Podolskimu. Bo to nasze
chopcy. A we polskij kadrze o'statnim Ślůnzokiym bou baji Dudek.

MŁODY:

Dyć to je egal! Polsko kadra, polskie fusbalorze!

KECIATY:

Synek, ciebie to je egal, a mie niē. Do mie ślůnski fusbalorz je ślůnski, a
polski je polski.

BARMANKA:

A dziepiyro co eście godali, co cera za gorola byście wydali!

MŁODY:

O, widzicie! Sam wos mom!

KECIATY:

Dyć nic ni mosz. Jo ino godoł, co lepszy ziyńc gorol, niżli Arab abo Turek. I eli już pytosz, to ci powiym: kiej Polska gro we fusbal ze Turkami, to kibicuja Polsce.

W SZAKECIE:

Możne już niedługo. Bo trefi sie baji, co mały Mustafa bydzie groł we fusbal w tureckim manszafcie. I co, wnukowi kibicował niy bydziesz? A?

MŁODY:

Jakimu zaś wnukowi?

BARMANKA:

Bo widzisz, tak prowda pedzieć, to tyn chop je zakamuflowano opcja turecko!

MŁODY:

Nië poradza poszkopić. Jako zaś opcja turecko?

W SZAKECIE:

Dyć ci godo: zakamuflowano!!! Opcja niemiecko o'n je o'dkamuflowano skirz tego, co sia do nij prziznowo. A turecko zakamuflowano skuli tego, co sia nië prziznowo. O'n nawet nië wiy, iże je opcja turecko, ale razinku bydzie wiedziol. A zarozki potym o'n bydzie tyż trzecio opcja: polsko.

KECIATY:

Jerombol! Jako zaś opcja polsko?

W SZAKECIE:

Normalno. Kiej wydosz już drugo cera za gorola, baji ze Kielc abo ze Sosnowca, to bydziesz tyż opcja polsko. Jednymu twojemu wnukowi bydzie Mustafa, a drugimu bydzie Mietek.

BARMANKA:

A trzecio cera bydzie se żyła... ze babom. I tak na koniec bydziecie tyż opcja lesbijsko, homoseksualno.

MŁODY:

Jo już nic nië kapuja. O czym wy godocie? I dejcie mi drugi malc.

W SZAKECIE:

We malcu je cukier, kiery ci mózg widno klajstruje. Bez to piwo lepsze. Mie dej, frela, trzeci piwo. A godomy, synek, o o'nego cerach. Szukomy, za kogo je wydać. Jedna sia już wydowo sama za Turka, we Niymcach. Bez to o'n

je opcja niemiecko a turecko. Nale dwie młodsze chce wydać sam, za polskich karlusów. I bez to je tyż opcja polsko. Moźne jedna wydomy za cia?

MŁODY:

Chyba szpas! Jo mom być świgrzym jakigoś Turka? Dzikigo?! Jo je white power, rychtig ślůnski wszechpolak, i ze żodnym bontnym, bronotnym, a brannym świgrzym niy byda. Chybaście pogupli.

W SZAKECIE:

Turek niē je brunatny, ino taki barzyj mout.

MŁODY:

Mout... Świgrzym beżowego tyż niē byda!

W SZAKECIE:

Dej se pozór, Rajmund. To je ziynć gynał do cia. Jeszcze barzyj niē cierpi bontnych jak ty. Jak mu mały Mustafa powiy „ujku”, to go kopnie abo maznie bez pysk! Padom ci, Rajmund, jednego szaca do twojich cerów już ech znod.

BARMANKA:

No, a drugim niych bydzie frela. Moźne jo?

MŁODY:

Jo se wypraszom! Niē bydziecie mie równać z jakimiś lesbijkami, pederastami abo Turkami. A tak w ogóle, co to je? Człowiek se przyszeł na malc, a sam go durś szterujom, ubliżajom. Co to za szynk?

KECIATY:

Jerombol, synek, wto tu komu ubliżo? Jo ciebie, abo ty mie? Przeżywosz mie oǳe zakamuflowanych, padosz, co jo je Polok! Wto tu komu ubliżo?

MŁODY:

W byciu Polokiym ni ma nic do ubliżynio!

W SZAKECIE:

Toć, że niē. Tak jak w byciu Turkiēm, Arabym, Rusym, Niymcym abo Ślůnzokiēm...

BARMANKA:

Abo lesbijkom!

W SZAKECIE:

Mosz recht, frela. Abo lesbijkom. Koźdy mo prawie być tym, kim je i kim chce być. Jo Ślůnzokiēm, o'n Polokiēm, ty lesbijkom, a Rajmund opom Mustafa i Mietka.

KECIATY:

Jo niě chca być opom ani Mustafy, ani Mietka! I ustońcie juże robić błozna z mojej utropy. Nalyj no, frela, po sznapsie, bo niě strzimia.

W SZAKECIE:

A wto sam robi błozna? Jo ci znod fajnego szaca do twojich cerów. Abo chocia do jednyj. White power jak godo, prawdziwy ślůnski Polok.

BARMANKA:

Kaj Polok? Wszechpolok!

POD BINDRYM:

Tuż widzisz! Bieresz, abo niě?

KECIATY:

Wiěcie wy co? Smola wos, a o'nego tyż. Niyh sia moje cery wydowajom we Hamburgu za Turka, Rusa abo kogo chcom. Tyn przinajmij mie niě bydzie godoł, wto jo je.

W SZAKECIE:

No a wnuki?

KECIATY:

Wnuki? Wnuki? Tuż ci powiym, wszystkim stawiom raja. I wypijymy za to, co jo se małego Mustafy i tak wychowom na Ślůnzoka, o!

KEDY TO ŚMIERTKA DO CHOPA PRZYSZŁA

Mariusz Gołosz

OSOBY

CHOP – KARLIK

BABA – FRIDA

ŚMIERTKA – ŚMIERTKA

AKT PIERWSZY
I JEDNOCZEŚNIE JEDYNY

*Scena pokazuje mieszkanie Chopa i Baby w familoku.
Chop naprawia stary telewizor; nagle rozlego się pukanie.*

CHOP:

Frida, wejrzyj bez kuklok, kto tam stoi pod dźwiwyrzami.
(Baba idzie do antryju, by odewrzeć dźwiwyrze)

ŚMIERTKA:

Moga wlyść? Ja do Karlika.

BABA:

A ftoś tyś?

ŚMIERTKA:

Śmiertka.

CHOP (*wchodząc do antryju*):

Synek, co ty fanzolisz?

ŚMIERTKA:

Wyście Karol Kluczniok?

CHOP:

Ja. Bo co?

ŚMIERTKA:

Terozki pódziesz ze mną.

CHOP:

A kaj?

ŚMIERTKA:

A kajtnąć, jo przeca Śmiertka.

BABA:

Jezusie, Maryjo śwynto. Pieronie, Karlik, a godałam ci, żebyś szedł w zeszła niydziela do kościoła porzykać, a ten swoje. Jezusie, Maryjo śwynto!

CHOP:

Już sie zawrzij, bo ino bebloz a bebloz! Lepiej przygrzyj, jak co łoślało z łobiadu. Przyszedł gość, to go trzeba poczęstować, pra? Gorzołki?

ŚMIERTKA:

Niy, w robota nie uchodzi.

CHOP:

Prowda, jak jo fedrowoł na grubie, to ani kapki gorzołki żech nie broł.

ŚMIERTKA:

Gorzołka gorzołką, ale kipnąć trzeba.

CHOP:

Ano trzeba, ale czymu akurot terozki? Teroz, kedy jo żech jest blank zdrowy, kedy bajtle odchowane i jo moga pójść kaj chca i o nic nie musza się starać.

ŚMIERTKA:

Niy myślcie, Karlik, że ja to za ta Śmiertka to tak robia, bo mnie to rajcuje. Dzisiej na świtaniu dostołech wiadomość, że musza sie gibko zwyrtnąć po Klucznioka i przyłoż żech.

CHOP:

Poleku, poleku, ale ja znom kupa chopa, co majom miano Kluczniok.

ŚMIERTKA:

Ale tukej stoi: Karlik Kluczniok z Katowic, ze Nikiszu, urodzony w 53, obabiony z Fridom, dwoje bajtli, hajer przodowy...

CHOP (*wzdychając*):

To jo. To kaj idymy, do piekła czy do nieba?

ŚMIERTKA:

Ale jo mom jeszcze kupa roboty z wami, to może poczekomy na ten łobiod.

CHOP:

Firda, no co z tym łobiadem? Gość głodny, jeszcze skuli ciebie mnie do piekła zasmyczy.

BABA:

Jezusie, Maryjo śwynto. Został ino krupniok.

ŚMIERTKA:

Alech rada, bo jo bardzo lubia krupnioki.

FRIDA *przynosi krupniok*

CHOP:

A może tak, synek, szlukniemy se po jednym i zagramy w skata, w końcu ty na dole nie robisz.

ŚMIERTKA (*jedząc krupniok*):

O niy, niy, niy. Ani w szachy, ani w skata, ani nawet w tysiąca. Musza vos, Karliku, rozliczyć. Tylko jo mom utropa, bo jo mom vos, Karlik, rozliczać jako Poloka czy jako Nimca?

CHOP:

A jako Ślázoka niy godzi sie?

ŚMIERTKA (*krztusząc się krupniokiem*):

Czyli fifty-fifty?

CHOP (*dźwigając się*):

Jakie „fifty-fifty”? Niy żodne „fifty-fifty”, jeno jako Ślázoka, hajera.

ŚMIERTKA:

Pieronie. Przez vos, Karlik, mom jeszcze większa utropa. Jo napisza, że do piekła, a jakby co, to się zmiyni.

BABA:

Jezusie, Maryjo śwynto. Do piekła, Karlik... i coś ty najlepszego zrobiył?

CHOP:

A nie dałoby rady do niyba, a jakby co – to się zmiyni?

ŚMIERTKA:

No, to zależy od taryfy, bo jak byśmy policzyli vos jako Poloka, to na ten przykład za to, jak wyście, Karlik, fulali na grubie, można by odliczyć, ale jeśli jako Nimca, to bydzie podwójnie. Ale zaś jakbyśmy mogli za Nimca odliczyć to, jak sie wyście, Karliku, za przeproszeniem chamili w gospo-

dzie, jak byliście na piwie z chopami, to jako Poloka byłoby podwójnie, a nawet i potrójnie, wedle ilości tych piw.

CHOP:

Pieronie.

ŚMIERTKA:

Ale możemy w łostateczności pójść na ugoda. Jo napisza, że do czyścca, a jakby co, to śwynty Pyjter wyprości.

CHOP:

Ja. Tak bydzie recht.

(Karlik wstaje z krzesła)

I nie ma co sie smolić, skoro na mnie krysa, to idymy, synek, tylko sie obleca.

BABA:

Pieronie, Karlik, czyś ty do reszty zgupioł. Telewizor żeś rozpaproł i se idziesz?

CHOP:

Poradzisz se, Frida. Przynieś mi, prosza, mój górniczy ancug ze szranku.
(Baba przynosi ancug, Chop sie obleko)

CHOP *(oblekając sie)*:

Jo w życiu zrobiół to, coch miół zrobić, syna mom, a nawet dwóch, czyli podwójnie. Oba robiom na grubie, czyli nawet poczwórnje. W familoku jo zech mieszkoł, przed familokiem drzewo posadził, możesz se, synek, łobejrzyć, to te najrubsze. Od trzech pokoleń na tym Śląsku, więc czego jeszcze chcieć? Teroz moga iść, byle tam, kaj pójda, były takie gryfne dziółchy jako kiedyś łu nos i takie fajne i mocne kamraty jak łu nos na grubie. Bo tyś, synek, to za przeproszeniem w rzyci żeś był i ćma widzioł, a ja teraz już moga iść, kaj chcesz. Fajrant.

Krystian Kokot

Redakcja: Karolina Kokot

Miejsce akcji: Ruda Śląska. Szyb Walenty (kopalnia Walenty Wawel)

OSOBY:

OBERSTEIGER KOWOLIK

- czterdziestoletni nadzorca robót górniczych na pierwszej zmianie na poziomie 380 metrów. Średniego wzrostu, o przeciętnej posturze ciała, lekko przygarbiony.

JOACHIM POŚPIECH

- przodowy brygady, górnik z dwudziestoletnim doświadczeniem. Mężczyzna barczysty, o muskularnych rękach, wysokiego wzrostu.

ZYGMUNT

- młody chłopak pochodzący z biednej, wiejskiej rodziny spoza Śląska. Barczysty, o wielkich, silnych, spracowanych dłoniach.

ALOJZ

- miejscowy chłopiec, którego korzenie całej rodziny nierozłącznie związane są ze Śląskiem i kopalnią. Niskiego wzrostu, filigranowej postury.

SCENA 1.

*Dół kopalni, poziom 380 metrów. Rozwidlenie chodników
niedaleko, gdzie górnicy mają pracować.*

OSOBY: ACHIM, ZYGMUNT, ALOJZ

ACHIM:

Wy sam zostańcie, ja idę na felezunek. Ino nikaj nie łażcie, bo chyba wiy-
cie, czym to grozi.

(Odchodzi)

ZYGMUNT:

Alojz, a co mogłoby nam się stać, gdybyśmy się stąd oddalili?

ALOJZ:

Teryn je wielki i idzie się stracić. Poza tym jak wlejesz do jakiś ślepy dziu-
ry, to matowa, no wiesz, tyń gaz, co tam na pewno jest, cie zabije. A jak
bydziesz łaził po starych niycznych chodnikach, to ze stropu na łeb
może ci coś slecieć i tyż cie zabije.

ZYGMUNT:

A ten felezunek? Co to jest?

ALOJZ:

To tam, kaj sztajger robotom dzieli.

ZYGMUNT:

Aha.

(W oddali słyhać trzy metaliczne uderzenia. Po chwili znów trzy)

ZYGMUNT *(wystraszony)*:

Musimy uciekać. Sztygar powiedzieli, że jak usłyszemy kilka następują-
cych po sobie metalicznych uderzeń, to mamy uciekać.

ALOJZ *(śmieje się)*:

To niy boły sztyry i sztyry klupniyńcia w ruły, ino czy i czy w gong. To sy-
gnalista szola przestawio.

ZYGMUNT:

Co to znaczy „szola przestawio”?

ALOJZ:

Zmienio piyntra ty szoli, co my w ni na dół jechali i ładuje kolyby z wongłym.

(Nadchodzi Achim)

ACHIM:

Poćcie, idymy.

(Gdy robią parę kroków, nadchodzi Obersteiger)

OBERSTEIGER (zwraca się do Alojza, który stoi najbliżej):

Szczęść Boże.

Wszyscy odpowiadają: Szczęść Boże.

OBERSTEIGER:

Stójcie sam. Dali iść niy idzie. Siadejcie sam pod ocios i zjydzcie sie śniowanie w tym czasie.

ALOJZ:

Dobra, panie Obersteiger.

(Obersteiger odchodzi do telefonu wiszącego parę metrów dalej na ociosie, w tym czasie górnicy wyciągają śniadanie)

ZYGMUNT:

Alojz, dlaczego ty nie jesz?

ALOJZ (trzymając chleb w ręce):

Niy moga, bo z nerwów bych go niy łyknoł.

ZYGMUNT:

A czym sie tak denerwujesz?

ALOJZ:

No wiysz, to je piyrwso moja szychta na dole.

ZYGMUNT:

A ja myślałem, że tylko ja zaczynam pierwszą dniówkę.

Po chwili do Alojza:

To skąd ty tyle wiesz o kopalni?

ALOJZ:

No wiysz. Twoje łojce w doma godajom o krowach i gospodarstwie, a mój łojciec jak z roboty do dom przidom, to z matkom godajom ino ło ty grubie. Tak że u nos koždy bajtel wiy, co to gruba i co to doł. Co sie tam robi i jak co wyglondo.

(Następuje silny huk, drży wszystko bardzo intensywnie. Ze stropu sypie się drobny węgiel, pył i mniejsze kamyki. Od strony przodka chodnika, dokąd zamierzali iść, napłynął nieprzejrzysty obłok)

dymu. Światła karbidek, które trzymają w rękach, nie są widoczne.

Górnicy nie widzą jeden drugiego, mimo że siedzą obok)

ZYGMUNT (*krzyczy*):

Uciekamy, bo tu zginiemy!

ACHIM (*ze spokojem*):

Siedź sam, pieronie gupi, chcesz się kajś roszczaś? To ino hajer szczyło. Rozkruszo wongel, żeby my mieli co fedrować.

ALOJZ (*po chwili milczenia, zafrasowany*):

Zigmunt, a po co tyś sam przijechoł? Niy lepi by ci boło tam, u twoich łojcow?

ZYGMUNT:

No wiesz. Byłem tu niedawno na pogrzebie stryja. Stryjenka zaproponowała, żebym u niej zamieszkał. Jest teraz sama, schorowana i potrzebuje opieki. Powiedziała, że za opiekę nad nią będę mógł mieszkać darmo. Mówiła też, że na końcu ulicy jest kopalnia i tam znajdę pracę. A u nas w domu, w Powierowie, było nas siedmioro braci. Gospodarstwo małe. Nie dla wszystkich chleba wystarczało. Tym bardziej teraz. Gdy tatuś Marianowi, najstarszemu bratu, ziemię oddał. Sam zaś do łóżka jest przykuty z powodu choroby. Brat ma teraz na utrzymaniu oprócz mojej jeszcze swoją rodzinę.

Po chwili zwraca się do Alojza:

A ty, Alojz, dlaczego chcesz tu pracować?

ALOJZ:

Łojciec mi łobiecali, że jak łodłożom trocha grosza, to byda mog iś do szkoły przy hucie. Jak jom skończa, byda majster, a we hucie majstrow poczebujom. Nos tak jak wos siedmioro boło. Jozik z łojcym na dole robjyli, a modsze siostry przy matce boły. Ale teroz jest inaczy...

ACHIM:

Chopcy, kończcie ta godka. Idymy do roboty.

SCENA 2.

Dochodzą do przodka, przy którym mają fedrować. Pchają wóz, w którym są trzy oskardy i łopaty. Wyciągają oskardy i zaczynają nimi uderzać

*w nierozkruszone, olbrzymie kawały węgla. Mniejsze kawałki ręcznie
wrzucają do wozu. Ocierają pot z czoła i piją wodę z butelki.*

ZYGMUNT:

Alojz? Dlaczego powiedziałeś wcześniej, że sytuacja się zmieniła. Czyżby
obaj pracę stracili?

ALOJZ:

Nie, łojciec dali robiom, ino Jozik niy żyje.

ZYGMUNT:

Jak to się stało? Czyżby miał wypadek w pracy?

ALOJZ:

Nie, to sie stoło niedowno tymu na froncie, kaj boł za sanitariusza. Czoł-
goł sie, a na plecach miał swojego połyzywego kamrata. Przciongnął go
aż do zasiekow z drotu. Kiedy sie przeczołgiwoł pod drotami kolczasty-
mi, zahaczoł i potargoł swoja maska gazowo. W tym czasie wiatier sie łob-
brocioł i Jozik... *(Alojz przetknął ślinę)*
Reszta już wiysz. *(Chwila ciszy)* Samymu łojciec piniyndzy nie dajom rady
odłożyć.

ACHIM:

Przestońcie fandzolić, bo niy zarobiymy ani na słony ślęc.

ZYGMUNT *(przyciszonym głosem)*:

Ale ten, co go niósł, przeżył?

ALOJZ:

Ja. Boł u nos, jak wyłos ze lazarytu i wszystko nom pedzioł, jak boło.
(W oddali widać sylwetkę zbliżającego się Obersteigra)

OBERSTEIGER *(uśmiechając się, mówi do Alojza)*:

Coś wom te fedrowanie dzisioj jakoś słabo idzie.

ALOJZ:

Czego sie wiynicy spodziewać po nos, nowo przijyntych, panie Obersteiger.
Staromy się, jak umiymy, ale ryncie nienauczune jeszcze do taki ciynż-
ki roboty.

OBERSTEIGER:

Starejcie sie bardzi, bo nastympne wozy czekajom.

*(Zygmunt nagle zauważa kilka myszy oddalających się z miejsca, gdzie w trójkę
pracowali. Uduje, że tego nie widzi, bo nie chce zostać posądzony o to, że może się
ich boi. Zaaferowany pracą Achim w ostatniej chwili zauważa maleńkie stadko myszy)*

ACHIM:

Panie Obersteiger! Myszy uciekajom!

OBERSTEIGER:

Szybko! Wycofać się!

(Alojz i Achim szybko opuszczają miejsce pracy)

ALOJZ:

Ziga! Poć!

(Zygmunt się nie rusza, gdyż myśli, że to kawał, który chce mu zrobić koledzy, ponieważ jest nowo przyjętym pracownikiem)

OBERSTEIGER:

Wyłaś stamtąd, pieronie gupi, bo za chwila niy bydzie co z ciebie zbierać.
(Te słowa tak podziały na Zygmunta, że nogi się pod nim ugięły i z trudem umiał się poruszać. Cała brygada wraz z osobą dozoru wycofuje się w bezpieczne miejsce, tym razem pod telefon. Obersteiger dzwoni do dyspozytora)

SCENA 3.

OBERSTEIGER:

Panie dyspozytor, tu Kowolik. Bydymy mieli w pokładzie Jochan tompniynćie. Wycofajcie ludzi łód sztajgra Wilczka ze siodmy strefy. My się już wycofali.

Kładzie słuchawkę i zwraca się do brygady:

Posprawdzejcie swoje karbidki, czy macie w nich doś wody i naszykujcie sztrachecl, jakby nom lampy zgasły.

(Następuje potężny huk i ciemność. Słychać odgłos pękającego drewna, sypiącego się piasku oraz kamieni dudniących przy upadku)

Obersteiger *(kaszłąc i dusząc się)*:

Alojz! Żyjesz?

ALOJZ:

Ja.

OBERSTEIGER:

Ziga, a ty?

ZYGMUNT:

Nic mi nie jest, tylko mnie głowa boli i mam chyba pęknięty hełm.

OBERSTEIGER:

A ty, Achim?

ACHIM:

Nie wiem, czy mi rynki nie pocharatało. Jo je przisuty pod kark. Trocha mie ta rynka boli.

(Obersteiger zapala karbidkę. Zygmunt i Alojz szukają swoich, a gdy je znajdują, zapalają)

OBERSTEIGER:

Dobrze, Achim, że cie nojpierw tym drobnym przisulo, bo te kamińska zrobiolyby z ciebie mokry placek.

(Chłopcy zaczynają odkopywać i odgrzebywać zakopanego kolegę)

ZYGMUNT:

Achim, wiecie, ta wasza ręka nie wygląda za dobrze.

ACHIM:

To je ino leko rana. Byle kości som całe. A ty sie musisz nauczyć, że jak na dole ci rynka nie uwali, to sie nic niy stało. A jak sam chcesz robić, to sie nie możesz cyrkolić.

(Chłopcy usiedli pod ciosem i ciężko dyszą z wysiłku. W tym czasie Obersteiger podnosi słuchawkę, kręci korbką i dzwoni do dyspozytora)

OBERSTEIGER:

Panie dyspozytor. Sam Kowolik. Co tam u Wilczka? *(Następuje chwila ciszy)* No, aha. *(Chwila ciszy)* No dobra. *(Chwila ciszy)* U nos wszystko w porzondku. Teraz my Pośpiecha łodkopali, ale nic mu niy ma, dziynka Bogu. Jo ida posprawdzać, co tam w przodku. To na razie. *(Kładzie słuchawkę)*

ALOJZ:

Panie Obersteiger, a co tam u Wilczka?

OBERSTEIGER:

Wilczek mo wszystkie chodniki zaciśniynte, ale za to ludziom nic sie niy stało.

(Pośpiech jest w lekkim szoku. Zajęty jest szukaniem swojej zaginionej butelki z wodą, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Po chwili dochodzi do siebie i pyta)

ACHIM:

To co? Idymy fedrować?

(Na hasło „fedrować” pozostali podrywają się i już są gotowi do pracy)

OBERSTEIGER:

Niy. Wy sam siedźcie. Jo ida połoglonuć som, co sie stało. Zaroz przida.
(Oddala się)

ACHIM:

Ziga, tyn nasz Obersteiger to chyba do Świynty Barbary na zolyty łazioł.
Bo już kupa ludzi nieroz i siebie od pewnej śmierci uratował.
(Brygada niecierpliwie czeka na powrót swojego nadsztygara.
W oddali ledwo słychać walące się kamienie i czuć drżenie ziemi. Achim
przestraszony podrywa się z ziemi i rozkazującym tonem mówi)

ACHIM:

Zaroz przida, ino łobejrza, co sie stało, a wy ani kroku.
(Biegnie do miejsca, gdzie poszedł Obersteiger.
Po chwili wyłania się z ciemności i woła)

ACHIM:

Zigmunt! Poć sam! A ty Alojz tam siedź i sie niy ruszej.
(Chwilę później znikają obaj. Po kwadransie widać, jak
obaj ciągną bezwładne ciało swojego nadsztygara)

ZYGMUNT *(woła)*:

Alojz! Obersztygar nie żyje!

ACHIM:

Cicho być!

ZYGMUNT:

Choć nam pomóc!

ACHIM:

Pedzioł żech ci! Cicho być!
(Alojz siedzi osłupiały. Przechodzą obok Alojza, ciągnąc nadsztygara)

ACHIM:

Alojzku, poć z nami.
(Alojz podnosi się i powłócząc nogami, podąża za nim)

SCENA 4.

Gdy zbliżyli się do szybu, sygnalista zorientował się, że stało się coś złego – i zawczasu przygotował wyciąg górniczy do jazdy w górę

i otworzył wrota. Ostatkiem sił Achim i Zygmunt wciągnęli ciało nadsztygara do windy. Gdy wyszli na zewnątrz, Achim powiedział:

ACHIM:

Alojzku, jedź tom szolom do gory ze Obersteigrym, a my sam zostanymy.
(*Po chwili usłyszeli dwa następujące po sobie uderzenia w gong. To sygnalista nadał sygnał do odjazdu windy. Wyciąg z Alojzem i nadsztygarem pojechał w górę*)

ZYGMUNT (*ciężko dysząc*):

Achim, dlaczego wy wysłaliście Alojza do góry? Przecież z nas trzech to raczej on powinien tu zostać. Wam z ręki leci krew, a mnie pęknięty hełm poranił głowę. Przecież to my obaj wyciągnęliśmy nadsztygara ze zwałów drewna i kamieni, a teraz ledwo stoimy na nogach. Dlaczego właśnie on?

ACHIM:

Bo to boł łod niego łojciec.

SCENA 5.

(Alojz, jadąc w windzie, zwraca się do zmarłego ojca)

ALOJZ:

Łojciec i co jo teroz w doma powiym?

*Pamięci mojego dziadka i pradiadka ,
których nigdy nie miałem przyjemności poznać.*

FLANCMAJSTER GLUGOS

Ryszard Stoecker

PERSONY:

PAWEŁ – chop, 40–45 lat

ACHIM – chop, 40–45 lat

BRINOL – chop, 57–60 lat

PIKAWA – rubo krankenszwester, dziółcha, 26–30 lat

Pokój z kilkoma ciasno ustawionymi metalowymi łózkami. Byle jak posłane.

Na ścianie ogromny, krzyczący kolorami amatorski obraz:

Rambo w puszczy z automatem. Leci metalowa głośna muzyka. Na jednym łóżku siedzi dwóch facetów w wieku około czterdziestu lat. Na innym, w kącie sali, dużo starszy gość rytmicznie kiwa się „do muzyki”. Pierwsi cicho o czymś rozmawiają. Po kilkunastu sekundach jeden z dwójki gwałtownie się zrywa.

PAWEŁ:

Te, Brinol, ścisz to, bo, kurwa, nie moga se pogodać s kolegom!

BRINOL:

Ja, ja, już wom ida...

(Muzyka cichnie i za chwilę już jej w ogóle nie słychać; Brinol wychodzi)

PAWEŁ:

To je Brinol: malyrz z Bytómia. Miał na rzyci sześć wszyw i zostało mu, tam kaj je miał, sześć sznitów. Prosił taka jedno baba, co miała na targu buda z niciami i igłami, to mu wydrapywała, bo to lubioła, i zaś se pioł. My tu godomy na niego Brinol, bo pioł bryna na działkach. On ci z hau-su wszystko przepioł: sprzedał muszla z haźla i deska i niy miał kaj srać, to się sam zgłosił na leczynie. On mo sześćdziesiąt roków, a, kurde, lubi metal – muzik...

ACHIM:

Jo to nie lubia. Wola te hajmatowe szlagry...

PAWEŁ (*śmieje się*):

Boś ty je eneredyjowy wehrmachtowiec! Jesus, Achim, jak ty żeś wkludził się do Di-Di-eR – soldaten na berufsoficjyra?! Jakbyś się wpisał do bundeswery w enerfuju, no to ja, to idzie rozumieć, tak poszoł jedyn synek z Panióftów, co chodzioł do Makoszków na boks...

ACHIM (*przerywa*):

No, a co jo miał robić, jak fater ścioł do eneredyju jechać, kiedy ludzie uciekali do prawdziwego Rajchu? Jo nie boł taki hipis jak ty: hendriksy, długie włosy i te dupsy! Jo dryjny lubioł kultura, kurwa, ordnung. Jo ci godoł na placu, jak my mieli siedym abo osiem lot, że wola Niemców od Polaków, bo Niemcowi jak dosz puszka, to ci zrobi handgranata, a Polok niy.

PAWEŁ:

Tyś to chyba wzion od swego fatra. Mom w gowie, jak on rycoł bez okno: Achim, do dom, a szykuj swojom asze na chiby! Tyś wtedy zaczynoł ryceć, boś się boł tych lejtów...

ACHIM:

Jo do dziś czuja, jak mnie ta rzyć boli. A szmary najgorsze były za to, że zech się doł. Jo mogłech nawet padać, że ich boło wiela – ciuloł mnie takim rubym pasem i godoł: Mosz za to, coś się doł, jak sie bydziesz bioł, to sie przypomni tyn pas!

ACHIM:

A ty, Paweł, żeś boł ynteligynt, bo taki boł twój starzik. Wpierdol od ojca eno dwa, można trzi razy na rok. Po elementar szule jużes ze mnom nie godoł. Jużes miał czisto, elagancko godka, kumpli z liceum, kaj żeś chodzioł. A jo: zawodowa przy grubie i szykuj się na hajera i do przodku na kolanach, ciulać w ściana wongla na Pstrowskim abo na Sośnicy. My mieli pierwszy telewizor w całym hausie, tyś tyż do nos chodzioł na „Zorro”, a w niedziela na dizneje. I choć boł jedn program eno przez kilka godzin trzi razy na tydzień – tyn welt boł ciekawy. Kurzołech w haźlu szporty, złoty piynćdziesiont za paczka, cyjn sztuk, a do tego czytołech „tygrysy”, one boły o wojnie; choć Niemcy dryjny przegrywali, jo wiedzioł, że to cygaństwo, ale tyn krig!: to mnie ciongło. Jak my wyjechali do Karl-Marx-Stadt, fater sznel boł tot, a muter się zgodzioła, żeby jo poszoł na berufsoficjy-

ra w folksarmii. No co – i wtedy my byli ajgentliś cuzamen: w Warszała–Pakt i terozki – kiej je bundeswera, my som w jednym Atlantik–Pakt. Tyś je Polok, jo jest dojcz i jak co: cuzamen forwats gejen!

PAWEŁ:

No, a jo się stoczył na dno, cienżki alkoholizmus, siedza na tym odwyku od dugiego czasu i nikt mnie z moich mondrych kolegów nie odwiedziół; przyjechał Achim, kolega z placu w Hindenburgu, co je terazki w Karl–Mar–Stadt w nowym bundes–Rajchu (wstaje i usiłuje objąć Achima).

ACHIM *(delikatnie się uchylając)*:

Niy, no, dej pokój. I nie z Karl–Marx–Stadt, ale z Chemnitz. Terozki je na–zod Chemnitz, jak za firera...

PAWEŁ:

Ja, ale macie tam dalyj największy na świecie Marksdenkmal, riściś w centrumie...

ACHIM:

Momy i nie bydymy go bulili, a wyście rozpierdolili Pstrowskiemu groba na fridchofie w Hindenburgu, a niewiele brakło, abyście zbulili mu denkmal w parku, co je kole Trzeciego maja sztrase...

(Nagle otwierają się gwałtownie drzwi i wpada do pokoju Pikawa, ubrana „po cywilnemu”, bo tak chodzą pielęgniarki na odwykach; poza, oczywiście, oddziałami detoksykacyjnymi)

PIKAWA:

Paweł, no, gibko, bo Słoik zaś dostał padaka! Jo je sama u wos na oddziale, a on zacisnął gemba i nie moga mu wrazić w nia nic, żeby jenzyk sie nie odgryzł!

(Paweł błyskawicznie podnosi się i wybiega z pokoju za pielęgniarką. Za moment wchodzi Brinol)

ACHIM:

A wy mu nie pomogocie?

BRINOL:

Niy, jo ni moga, bo rence mi chodzom, sie trzensa... A ty chcesz tyż do nos na leczenie, ja?

ACHIM:

Niy! Jo je zdrowy, pija normalnie. Jo je do kolegi Pawła...

BRINOL:

No to macie jeszcze dziesięć minut...

ACHIM:

Wiem, godali mi, jak żem tu przyszoł.

BRINOL:

Terazki som odwiedziny, a potym terapia..

(Chwila milczenia)

BRINOL:

Jo dziś ida na chroniki... To som takie chopy, co im mózg odebrało. Sra-
jom pod siebie. Ledwie się ruszajom, musimy ich karmić i kompać. To
jest terapia dla pijoków...

ACHIM:

Ony to majom z gorzoły?

BRINOL:

No... *(potakuje)*

BRINOL *(za chwilę)*:

Paweł idzie „na dziecka”. To je najgorsze: to som te dziecka, co som kaleki,
a ich nikt bez to nie chce. Rycom, wyjom, na siła się ich karmi. A po dro-
dze jest pawilon: normalne wariaty, to som wariaty, co zwariowały nor-
malnie, bez picia. One od nos chcom fusy od tyju i kipy. Bo kucharom nie
wolno im dować tyju i ony nie mogom kurzyć. To se muszom sami sprai-
wić. Cieńszko je być normalnym jebnientym...

ACHIM:

No ja, ale Paweł tu je skuli tego... *(uderza się ręką w szyję)*

BRINOL *(przerywa mu)*:

Ja, mo chop szczęście...

ACHIM:

My razym zaczynali obciongać jabcoki jako młode synki z tyłu hausu na
Klonowej, a flaszki wyciepywali przez taki płot do ogrodnictwa Glugos
czy Dugosz, już terazki nie pamientom. On, tyn flancmajster, wyłaził i
ryczoł: Wy szwajny, zasrane gizdy, jak wos chyca, to wom z tych śmier-
dzonecnych arszlochów giyry powyrywom!

Potym założył sztacheldrut na tym płot. Jak fto przełaził, to się kalecoł
do krwi. No to Edek mu w nocy zawiesioł taka rama: „Achtung, Konzen-
trationslager Glugos”. No to ten ciul poskarzoł sie milicji. Ube, nos, cały

haus na Klonowej, przesłuchiwało, że niby som my tajna organizacja hitlewska. Potym już zech z Pawłem nie pioł, bo on poszoł do licyum Lynina, co boło kole browaru, potym jesce kaj wyżyj, a jo wyjechał do Rajchu.

BRINOL:

Ja, łon je kształcony. Bo tu, w Gorzycach, siedzom gównie hajery, różne arbajterzy... No ale... ja, tyż je jedyn okulista, ksiondz i dyrektor, co mo polineuropatia, wożą go na wózku, a łon jak furman jedzie, zaś jak go pika-wy kompiom, to do nich godo „moje hurysy”. I coś mu się pierdoli, że jest cesorzem w Rzymie i go kompiom w mleku abo winie, to do nich poci-sko: „bitte, bitte, moje sznupellki i kasellki moje, cyzor musi być czysty i wymasowany”. Krankenswestry, co go kompiom, się śmiejom, a dy tyż se lubiom cuzamen do kupy tak chopa masować...

(Drzwi się otwierają. Wchodzi Paweł.

Podchodzi do łóżka, na którym siedzi Achim.)

PAWEŁ:

Już je gut. Chop siedzi i nic niy pamiento. Padaka alkoholowa jest chujowa.

ACHIM:

Ty, Paweł, momy już mało czasu, bo zarozki bydziesz mieć terapię...

PAWEŁ:

Wiyem. Godej, czemuś do mnie przyjechał...

ACHIM:

Jo je terozki na ryncie w Niemcach. Przyjechał zech do Stefka z twojej klasy z podstawowy. To boł mój kamrat, on robi jako masorz w Rudzie. Godoł mi, jak kombinował dla ciebie parowy z zakładu masarskiego w Zabrze, jak boło u wos cienżko z miensym. No i tak to przyszło na ciebie. On chce zrobić spotkanie, bo jest w tym zwionzku Ślonzoków. Już zech godoł z Maryjkom Proske, Halinom Miler i z innymi naszymi dziołchami, coby się spotkać.

PAWEŁ:

Jak wyleza stond, to chca wrócić nad Bojtnera...

ACHIM:

Richtig abo robisz mnie w ciula?

BRINOL:

Paweł, powiydz Achimowi to coś nom godoł o swoim życiu.

PAWEŁ:

Niy, to by było za dugo. Ale tak krótko: to jest mój szternosty odwyk od gorzoły. Za którymś mi się odmieni i nie byda dalyj pioł. Ale wiym, zdo mi się, że niy ma odwyku od Zabrza.

Tukej zech się narodził, tukej som w grobie moje rodzice. W miejscowym kyjzeblacie żem miał pierwsza robota. Tu żem dostał tyż pierwsza nagana za pobicie milicjantów w lokalu redakcyjnym i pierwsze pismo od dyrekcji Ślonskiego Wydawnictwa Prasowego z cennom uwagom: „że bicie milicjantów w redakcji gazety partyjnej jest niezgodne z etyką dziennikarską”. W tym zabrzańskim kyjzeblacie my drukowali w latach siedemdziesiątych kilka odcinków „Cholonka”, zaraz po pierwszej publikacji w wydawnictwie „Ślask”. To mało kto pamiento, a można se kuknąć do zszywki „Głosu Zabrza”. Po czwartym odcinku sztaadkumitet zabronił dować „Cholonka”, bo – jak nom naszrajbowali – ośmiesza Ślonzoków. W tym kyjzeblacie, jakżem poszoł do innego, żeby dostać talun na malucha, na mojej miejsce przyszoł Staszek Bieniasz. Jego pierwszy tekst też był o alkoholizmie. Potem zech walczoł jako mieszkaniac jednego miasta – stolicy udawania – o nazwie Podbeskidzie, ktorom genialnie wymyślił jedyn redachtor „Trybuny Robotniczej” na piwie w „Ślupskiej”, co już jej niy ma. Jeronie! Som się śmieja z własnyj gupoty...

(Wchodzi Pikawa)

PIKAWA:

Paweł, niy godej tyle, ino się szykuj na terapia, bo mosz dziecka na planie...

PAWEŁ:

Już kończa. I tak minęło cwancich jare i żem zobaczył „Cholonka” w teatrze w Bielsku. To mi, kurde, spać nie dało... Bołech jeszcze dwa razy i za każdym razem boł tyż tyn sztaadprezydynt. Roł tyż cołki czas, choć je gorol.

PIKAWA *(zwraca się do publiczności)*:

Jezus, to som wyświechty, banały. Ale jo mu wierza

(zaczyna się rozlegać utwór grupy Pachoty „Góralka – Halka”).

Pielęgniarka włącza się i śpiewa razem z wykonawcą).

PIKAWA:

Ciemna nocka nad górami... Jakaś dziwna tęsknota serce twoje omota... itp. *(zgodnie z treścią tej piosenki). Po odśpiewaniu piosenki razem z nagraniem kłania się i wychodzi wraz z pozostałymi osobami.*

LAUBA.

ROZPROWIANI O TYM, CO MINYŁO I SIE JUŻ NIY WRÓCI

Grzegorz Sztoler

I

*Kuchnia. Babka kole stoła, za niom bifyj.
Jest cima, ino z łokna pado smuga światła.*

BABKA:

Weż Uli i małej kołocza. A przyjedźcie...

WNUK (*wyciongo cajtung*):

Babko, mom tu coś do vos...

BABKA (*narzeko, ale je rada*):

A bydziesz ta o mie, starej dziadówce, pisoł...

WNUK:

A niech ta o prostych ludziach też je, a niy ino o tych chacharach.

BABKA:

A na kogo bydziesz głosował?

WNUK:

Przecóż na naszych...

BABKA:

A to, jak w radiu godajom...

WNUK:

Ja, w Radiu Katowice cołki czos o nos fedrujom.

BABKA:

Bo tyn łojciec (jak mu tota było?) w tym radiu godoł, że naród ginie.
Musiołbyś posłuchać...

WNUK:

Babko, niy martwcie sie, kupa nos... Niy domy sie...

BABKA:

A jo se z tobą, synku, rada popolitykuja. Naprowda. Chyba Marysi, Małgosi i Zosi kupia po radiu. Żeby słuchały...

WNUK (*kiwo głowom*):

A Kazikowi?

BABKA:

On padoł, że już mo!

WNUK:

Jo myślą, babko, że lepi, jak każdy bydzie miał swoi radio, a niy wasze. Wiyecie, momy demokracjo i każdy może se wybrać. Wy mocie radio z Torunia, jo mom z Piekor, Kazik mo sport z Katowic, a Marysia z Zosią możne wolom słuchać o szmaterłokach...

BABKA:

Jo niy wiyem... Ale chocioż piynć minut by mogły...

WNUK:

To im powiyecie, coście słyszeli...

BABKA:

Ja, Małgosia to zaroz ucieko odbywać krowy, jak mie słyszy. Łona chce mieć ino śwynty spokój...

WNUK:

A Zosia?

BABKA:

Twoja mama? Niy chca ji nerwować, bo je po tych operacjach... Jeszcze by herzklekotu dostała... No, ni mom z kim pogodać...

WNUK:

Babko, dyc zaś przyjada, i popolitykujymy.

BABKA:

Jo ci, synku, rychtig przaja...

II

Stół z ceratom. Albumy. Kołocz i wino domowej roboty, kiere rozlywo ciotka Marysia.

WNUK:

Rychtig dobre...

BABKA:

Winogrona to sadił jeszcze mój łojciec, August. Pamiyntom to, byłach małom dziolchom.

WNUK:

A od kiedy robicie wino?

BABKA:

No, no jeszcze za Starej Polski... Ale neprzód ino z jabłek.

ZOSIA:

Aaa, to chyba tom maszynkom, co Łukasz jom odnawio...

BABKA (*godo dali*):

A te dwie rozłożyste jabłonki kole studnie sadił ujek Michna. Łone były rychtig dobre...

CERY, ZOSIA I MARYSIA (*do kupy*):

Ja, to prowda.

ZOSIA:

A jo pamiyntom, jak żech sie bawiła kole tej dziki gruszki, przy stowie. Tam były taki piykne żabki. A ty dziki gruszki były małe, ale fest zowcite.

WNUK:

No to kaj był tyn stow kole dziki gruszki?

MARYSIA (*wskazuje*):

A za tom ścianom.

Zosia rozlywo wszytkim wino.

WNUK:

Babko, a kto stawioł ta chałpa?

BABKA:

A musioł to Balcarek, mój dziadek, postawić.

WNUK:

Ale czy on sie wam, babko, tym chwolił? Czy godo! „Patrz dziolcha – bo wyście mieli wtedy naście lot – jo to wszystko stawioł, budowoł. Patrz dziolcha, ile mie to kosztowało zdrowio...”

BABKA (*zamyślono*):

No niy, niy godo! tak... Łon nawet, Balcarek, to se lubioł wypić, czynsto... Tak mi sie spomino...

WNUK:

No toż jak wylywoł za kołnierz, to raczyj chałpy niy wybudowoł, to pryn-dzy by jom przepił.

ZOSIA:

Możne to jego łojciec wybudowoł ta chałpa?

WNUK:

Przecóż łon sie tu wżynił, przyszeł już na gotowe.

BABKA:

Noo, poczekejcie. Wiym, że moja babka, jak se przypominom, była z Wi-sły Wielki...

MARYSIA:

No to on musioł ostać na ojcowiźnie, a babka musiała tu przejść.

BABKA:

A poroczcie sie jeszcze tym kołoczem...

WNUK:

Babko, ciotka Krysia Tetla z Pszczyny mo taki blank stare zdjynci, a ta na-sza chałpa wyglondo na nim inacy. Jak tako... chałupinka...

ZOSIA, MARYSIA:

Ja, to prowda.

WNUK:

Sadu jeszcze niy było, drzewa ledwo co zasadzone...

BABKA:

Mój łojciec, August, kole 1912 roku sie tu wżynił, rok późni przyszła na świat Stazyja, moja siostra, a potem jeszcze zbudowoł ta stodoła.

MARYSIA:

A przy stodole stary Fyrla chowoł króliki.

WNUK:

No toż po kolei, co było piyrsze budowane, masztalnia czy chlywy?

BABKA:

Chlywy były rowno budowane z chałpom. A jak tam na zalonym w Wiśle rozbiyrali łojcowizna dziadkowa, bo tyn zalyw goczalkowicki budowali, to cegły s tego, dachówka i bale wziyni my do budowy masztalni s tym małym chlywem. Nadbudowali my też łobora, kaj som krowy. To było jeszcze przed rozbudowom chałpy, zanim sie nasza Marysia urodziła.

ZOSIA:

Chyba coś pamiyntom, jak przez mgła, jakiś wielki auto, coś przewoziło. Ale niy jest żech pewno...

BABKA:

No, jak my ta dachówka kładli, to trzeba było chłopów nająć, bo struganio tego drzewa było a było. Dziadek, chociaż cieśla, som by niy doł rady.

Zniko kołocz, ale wino jeszcze trocha ostało...

WNUK:

Babko, a kiedyście poznali dziadka Jana?

BABKA:

A bez wojna, przyjechał jeszcze w niemieckim mundurze, na urlop, a poznali my sie bez swaty, jak sie mi zdo. Muzyków to ta niy było, jak teraz. Weseli było, po wojnie, jak łon przyszeł z ruski niewoli, spół roku późni.

Babka przynosi jeszcze trocha wino...

MARYSIA:

Nigdy niy zapomna, jak mnie tata na kolana broł... A jak mi sie cni za nim, to se puszczom go z taśmy, bo Stasiak, mój chłop, nagroł mi tate, jak był kiedyś na moim gyburstaku. I rozprawiom se s nim.

Cisza.

MARYSIA:

Zawsze godom do niego, jak mi tynskno. Abo biera znicz i ida se pogodać na cmyntorz.

ZOSIA:

Tata był dobrym człowiekiym. Uczciwym. Jak go kto ukrzywdził, zamykał sie w sobie. Nie prawil, że to łon mo recht. Ino milczoł.

BABKA:

Mioł dar modlitwy...

MARYSIA:

Zawsze godoł: „Jadwiga, ty se tego Ponboczka ostow na późni”. A jak sie zapowiadała burza, wychodził na dwór i zaglondoł. W 1956, jak przeszedł przez Brzezce tyn huragan, kozoł babce zapolić gromniczka, „bo idzie jakosikuj piekielnica”.

BABKA:

I dziynka Bogu minyło nos to.

MARYSIA:

Kościół i wieś były nieruszone. Za to na Gólgocie, tam ludziom pozrywało dachy.

BABKA:

A pole my ta mieli, i wszystkie kozły z owsem wywioło z pola, a na wiskim, kajmy też cosik mieli, tam my nawet cegły znojdywali.

MARYSIA:

Tata, tak idzie pedzieć, był postympowy. Ale telewizor to była u nos ostatnio rzecz... Najpierw łojciec rozbudował chałpa. Potem zrobił bieżąco wodę, no ja, już w 60. latach mieli my hydrofor. Potem zrobił jeszcze centralne ogrzewani. Pierwszy we wsi miał dojarke „Krakowianke”. Dopiero na ostatku kupił telewizor.

BABKA:

A jak umioł ukłodać fury siana...

MARYSIA:

Niy było wtedy żodnych kostek. Fury układało sie ryncznie w pryzme; kto umioł, to umioł. Tatowo fura niy rozwalala sie na dziurach.

ZOSIA:

Tak jak tata umioł ukłodać, Kazik umioł orać. Traktor i pług go słuchoł.

Bije zygor. Przerywo na chwila rozprowiani.

WNUK (*pokazując zdjynci*):

A tego to już niy ma?

BABKA:

To je staro lauba, przed chałpą, w sadzie, w której sie przesiadywało i jadło, nojbardzi w lato, jak było ciepło.

MARYSIA:

Lauba była porośniynto dzikim winem...

BABKA:

Jak przyszedł farorz, to siadł w laubie na ławie.

ZOSIA:

Bijok lubił spacerować po wsi, zaglądać do ludzi...

MARYSIA:

Bijok to był proboszcz z klasą. Jak szedł bez wieś, to jeszcze dwiest metrów za nim woniało, taki był nadzieksowany wodom kolońskom. (śmiejch)

ZOSIA:

A mamie zawsze zaglondł do lodówki, bo to nowe urzondziny było i zawsze godł, że se musi taki kupić. A mama nierada była, bo jak to w lodówce, roztomaite rzeczy były.

Babka przytakuje.

ZOSIA:

Szykowny i akuratny. Jak gospodyn timerzyła gardiny, to łon to zaraz uznoł. No, pajynczyny za szrankiem też mu nuy uszły... I z każdym pogodoł. Nuy cierpioł ino wiazidlatych, starych bab. Ja, grzecznie sie im kłaniał, ale uciekoł. Za to uwielbioł dzieci i zawsze koło niego było ich pełno. Organizowoł im adoracje, wycieczki, a we farskim ogrodzie kozoł zrobić karasol, pierwszy we wsi.

MARYSIA:

Jak byłach mało, to podeszłach do Bijoka, a łon siedzioł na ławie w laubie, i godom tak jak w chałpie sie ciognyło: „Farorz pódź, farorz, weź to ino, a farorz podziwej sie”. Ale żech dostała! No, ale jak sie dziwić takimu krynzłowi. Dyc było mi możne z piynć roków.

BABKA:

A jak dziadek zeproł Kazika... (śmiejch)

MARYSIA:

A Zosia beczala...

MAŁGOSIA:

Ale tata myśłoł, że ona tako dobro i o brata płacze, a ona ryczała o tyn długopis, co go pożyczala Kazikowi na religia. Roz go ino dała, bo Kazik jom prosił, bo sie chcioł pochwolić chłopcom na religii.

BABKA:

Ale przyszedł somsiad i pedzioł dziadkowi, że bajtle pochali na religii...

MARYSIA:

Przyszedł i pedzioł po cichu. Tyn somsiód taki był. Też dziadek gibko wzion chłabina i zaczon Kazika prac po rzici.

MAŁGOSIA:

A on w kapsie miał długopis od Zosie, o kiery ona tak beczała...

BABKA:

Bo się połomoł przy tym biciu...

MARYSIA:

Fajny był tyn długopis, plastikowy, przezroczysty, z Ameryki...

BABKA:

Dziadek niy umioł pochwolić... A dziółchy się dobrze uczyły, no i on poszedł Marysi na wywiadówka. A ona się roztomajcie uczyła. Był w tej szkole w Pszczynie i przyszedł nazod, no i pytom się go: „No, jak tam było?”. A on nic. „No, jak było, powiydz coś” – pytom się. A on: „No było”. To co, jakiś złe ocyny, czy coś takigo? „No, niy”. I nic zech z niego niy wycion-gła. Niy pedzioł nic, niy pochwolił żodnej dziółchy. Nigdy niy pedzioł, że tak jest dobrze, fajnie.

WNUK:

A dyc pamiyntom, że dziadek zawsze nos chwolił i dowoł bombony...

MARYSIA:

Naaaa, jaaa... wnuki to było co inszego....

III

Wnuk ustawio kamera. Babka krzypie i ciynżko dycho.

BABKA:

Jo se to inaczyj przedstawiola...

WNUK:

Chciołbych zrobić film o tych Żydówkach, co je wasz łojciec ratował.

BABKA:

Ja, prawda...

WNUK:

Wyście je znali, byliście równioczkom Olgi. A Magda i Lojzika były niewiele starsze...

BABKA:

A łone sie wcale niy dały znać, że som Żydówkami. Ino my tak poznali...

WNUK:

Niy jadły miynsa ze świnię?

BABKA:

Niy, jadły wszystko to, co my, bo wojna... Ale inaczej rzykały...

IV

Przy kawie.

WNUK:

Dobrzeście wypadli babko, jak to sie godo, rychtig profesjonalnie.

MARYSIA (*wlazła do izby z kawą i kołoczem*):

A jest to prawda, że w stodole Rusy ostawiły gwoździe w deskach?

BABKA:

Ano, ponoć...

MARYSIA:

A ciotki to sie zawsze śmioły, bo jak u Godźka było świniobici, tak po ci-
chu, żeby sie Rusy niy zwiedziały.

BABKA:

A na Kroczkowym ta mieli jakiś spotkani...), zaprawione miynso schowa-
li do banioka na mlyko i zakopali. Naroz przyszeł w to miejsce Rus, poła-
ził, powonioł i wysroł sie dokładnie tam, kaj go zakopali.

BABKA:

Śmiali sie, że to opieczentowoł...

Śmiech.

BABKA:

A srali bez żyrdka tam, kaj teraz stoi wiata.

V

W szpitalu. Przy babce siedzi ciotka.

BABKA:

Maryjka...

MARYSIA:

Słuchom, mammo...

BABKA:

Chyba idzie...

MARYSIA (*zaniepokojono*):

Co sie wom dzieje?

BABKA:

Chciałabych...

MARYSIA:

Co, mammo?

BABKA:

Być na weselu Kasi...

MARYSIA:

Godła mi Małgosia, że kupiła już suknia. Majom tu młodzi dzisiej do
wos przyś...

Babka zasypio. Ktoś klupie.

VI

Stół kuchynny z ceratom. Na nim kołocz i karafka z winem.

MARYSIA:

I sie babce pominyło...

Cisza.

Zosia rozlywo wino.

WNUK:

Rychtig dobre...

MARYSIA:

A pamiyntocie, jak przychodził do nos farorz na to dziadkowe wino?

ZOSIA:

I groł z łojcem w karty!

Cisza. Żodyn sie niy odzywo...

MARYSIA:

Dobrze, synek, żeś to nagroł. Puś to ino...

*Wnuk załonczo telewizor. Widać kuchynny stół, kołocz
i wino domowej roboty, kiere rozlywo ciotka Marysia.*

BABKA (z telewizora):

Aaa pamiyntocie laube?

MARYSIA (nieruchomieje, niy dopijo):

Kiedy my jom rozebrali, mamó?

BABKA (zamysłono):

Przed laubą rosły dwie jabłonki, kiery jeszcze przynios Michna. Cień ta
był, i zawsze siedziało sie tam...

MARYSIA:

A zaszczepeł te wszystkie drzewka w sadzie Warzecha z Łagiewnik...

BABKA (z telewizora):

Ja, lauba. Naszemu farorzowi, Bijokowi, sie tam dobrze siedziało...

MARYSIA:

Mamó, wszystkim nom sie tam dobrze siedziało...

(...)

Krystian Węgrzynek

SZPIL 1.

Sceneria to amatorskie boisko z jedną byle jaką bramką. Zamiast siatki gruba firanka, rozciągnięta od poprzeczki i sięgająca w głąb sceny. Za nią siedzi na ryczce kobieta i obiera kartofle. Na scenę wchodzi dwaj mężczyźni, podają sobie piłkę, podbijając ją głową lub nogą. W tle piosenka Skaldów: „Jesteśmy z Wami, chłopcy, Górnicy z Zabrza, chcemy Was, nasi chłopcy, do boju zagrzać”.

ARAM:

To je, chowie, niesprawiedliwe, tam nie było żadnego faulu, a po tym tyń wolny i rymis. My to już mieli wygrane.

PORCIOK:

Dyć, że niy było. A godajom, iże tam pono Italoki rozciepali jakoś breja i bez to Lubański ujechał na rzyci przed pustom budom. Pierzińskie kapitalisty!

ARAM:

Ja, tam som cygony, za tu u nos je terazki sprawiedliwość, i zobocz jako – ludowo.

PORCIOK:

Dej sie pokój, Aram.

ARAM:

Tukej cie mom. A żech sie tak myślał, czy jak sztajgrowi mówisz „Cześć pracy”, a nom godosz „Szczyńś Boże”, to je bez cufal, czy niy? I już wiym.

PORCIOK:

Bo ty tyż tak się sztajgrowi zawsze, chowie, stowiosz! „Bydzie zrobione, panie sztajger”, „Mo sie rozumieć, panie sztajger”.

ARAM:

Niy lyj sie żurym, Porciok – dobrze wiysz, ło czym godka.

PORCIOK:

Zapytej ino onkla, (ścisza głos) wyisz kerego, jak to tukej za czasów Gli-
kauf boło, bo chyba ci nie pedzioł, jak za polsko godka – w nojlepszym
przypadku – dostowali po pysku!

ARAM:

A my za tyj Polski niy dostali w szkole po gymbie za noszo godka?! A nosz
Pstrowski, górnik ubogi, co przekroczył norma i wyciągnął nogi – skónd
sie tu wzion?!

PORCIOK:

Nie drzij sie, Aram, boś niy szmaciorz!

MŁODY (*wchodzi z torbą przewieszoną przez ramię*):

Pyorsk, ludkowie! Niy nerwujcie sie, słyhać wos ino na przistanku.

PORCIOK:

A o keryj sie, Młody, przilażi?

MŁODY:

A kero jest?

ARAM:

Trzi ćwierci na drugo. Wielu to chcesz spać po nocce?

PORCIOK:

Mosz tyn łon?

MŁODY (*wyciąga z torby księgę i pióro*):

No przeca, naszego sztambucha bych nie zapomniół.

ARAM:

Niy sztambuch, synek, bo starziki zaroz z grobu wyleżą – to kronika przijażni.

PORCIOK:

To bydzie kronika, chopy, bydzie. Pokoż – dali zrobić ausdruk ? Czyta ty-
tuł: „Górnik polski górnikowi francuskiemu”. Elegancko. A jakie szum-
ne złoty ranty!

ARAM:

Porciok, jo już chyba wiym, dlo kogo.

PORCIOK:

Ale, ale! Jakbyś niy wiedziół po co!

ARAM:

Momy pierwszo strona wypełniono „Zabrze – najbardziej śląskie ze śląskich miast, najbardziej polskie z polskich miast”. Ciekawe, czy tyn DeGol wiedzioł, że to polskie miasto mo tela lot co my.

PORCIOK:

I ło to mu sie rozchodziło, coby kogo poszterować. A wiysz, że tyn urzyndnik, co Pырwszygo przed wojnom wywaloł z Francyi i Belgii, to terozki go witoł z honorami?

MŁODY:

I bydzie za to nagrodo specjalno? Ale jo ino trocha poradza po francusku.

PORCIOK:

Bydzie nagroda, jak wygromy konkurs!

ARAM:

Jak nikt o nim niy wiy, to chyba na zicher wygromy?

PORCIOK:

Aram. Do Młodego: I nic wincyj tam, synek, niy mosz? Co żech ci jesz-cze godoł?

MŁODY (*wyciąga kolejną księgę, ale starannie owiniętą gazetami*):

Nawet mie nie pytejcie, jak żech z tym wyložł bez brama na grubie.

ARAM:

A co to je?

PORCIOK (*odbiera*):

To je, chopy, nosz wzór.

ARAM (*czyta*):

„Wielka księga przyjaźni polsko–radzieckiej”. Wzór – pieronie – nad wzorami.

PORCIOK:

Siadej, Młody! Dej pozór: łotwiersz nowo ksiynga, przepisujesz zdania – wyciepujesz ino radziecki, a wpisujesz francuski, wiysz jak? Mosz tam jeszcze coś?

MŁODY:

Mom, ale z tym piwym to niy je terozki tak łaps. (*wyciąga dwie butelki piwa*)
W trzech sklepach żech boł. Ale mom jedyn zymfciok. (*pokazuje szklankę*)

PORCIOK:

Nie szteruj się, synek. Tela coś bombelmyca przestoł nosić, a jużes taki przepadzity? Ty mosz robota, a my sie rowno dzielymy z Aramem – każdy po jednyj flaszcze.

MŁODY:

To je ale sprawiedliwoś! Tak zech myśłoł, że wzeliście mie do swojigo ferajnu ino bez to, że niy ma sam Antosza, a niy coby mie za kamrata mieć.

PORCIOK:

Tyś je zdrowy i pióro utrzymosz, a Antosz mo rewir i pisać teroz niy poradzi.

ARAM:

Bogu dziynki, że dwa stymples ustały i szybko ich z przodka wyciongli.

MŁODY:

Ale jo już wiyem, że na przodku nie je tak po leku.

ARAM:

Bez to tyż wiysz, czamu młodzi muszom sie starszych słuchać.

PORCIOK:

Na zachynta ci w kuńcu powiyem – nagroda to trzi bilety na trybuna główno!

MŁODY:

Na Ślonski? Na rewanż z Romą? Naprowdy?!!!

PORCIOK:

Ja, ale nojpiryw muszomy napisać ta kronika. Ty zmieniosz, ale jakby ci co nie pasowało, to nos pytosz. Sprow sie synek, ale dobrze!

MŁODY:

A wy?

ARAM:

My ci bydymy pomagać. Ale i myśleć, co za napis dać na naszym fanie!

PORCIOK (*otwiera butelki*):

Górniki góróm!

ARAM:

Na taki mecz to trza coś szpecjalnego!

MŁODY:

Czyli tukej stoi „Hołd składamy Moskwie, stolicy pokoju”, a jo pisza „Hołd składamy Paryżowi, stolicy pokoju”?

PORCIOK:

Trocha finezji, synek. Czego cie tam w technikum wieczorowym uczom!
„Dejmy na to: »Hołd składamy Paryżowi, stolicy rewolucji«”.

ARAM:

Za Lenina dej Napoleona, że to łoni chcieli zawsze tyj wolnyj Polski, a za Chruszczowa dej DeGola, że to łoba chcom noszych zachodnich granic i tak dalyj. Trocha gupot ło tyj łodwiecznyj przyjaźni, trocha ło tych rewolucyjach i bydzie fertig.

PORCIOK:

Jakby sie te gupoty nie udały, toby nie było i noszygo Górnika.

MŁODY:

A wiera tego mo być?

PORCIOK:

Trocha. Piszesz ino po prawy. Ino synek, wiysz jak? Sam, z lewyj, bydom łobrozki z Murziłków, co je bydymy z mojom lipstom na wieczór prziklejać.

ARAM:

Jak ji jeszcze zagrosz na bałałajce, to już cie bydzie miała rada. Nie je łona aby kaj z Polski? Do Młodego, patrząc przez ramię: Pokoż, ja, ja...Co?! Francja – przewodniom siłom?! Tyś je ajchniony abo co? Żeby nos wszystkich zamkli?

(Porciok wyrywa stronę)

PORCIOK:

I sie skupcie, bo do wieczora sie nie dokulomy.

ARAM:

Mosz co kurzić? Przy cygarecie to mi w gowie wszistko lepij klapuje!

PORCIOK:

Farona kandego! Kurzył zech w chlewiku, jak zech dowoł zřeć królikom, a po tym zech łosatwił „Sporty” z kluczami na rómie.

ARAM:

Na romie? Czekej!... Górnik i „Sporty”, roma i chlewik... Zaroz coś wynajda...

PORCIOK:

Mom! Roma dla Górnika, tak jak marchew dla królika!

ARAM:

Eleganckie! Pisz Młody na tych skrowkach „Trybuny”. I jeszcze jedno, bo mi sie ta roma w kuchni bardziej podoba łód tyj na boisku: Tako roma momy doma! Pisz tam!

PORCIOK:

To ci, Aram, ale klapło! Słyszoleś, Młody?

MŁODY:

Jo już tego mom doś!

ARAM (*zagląda mu przez ramię*):

Ja, strzały z wieży Eiffla tyj rewolucji nie zaczęły. Aleś leluja!

MŁODY:

Sami sie piszcie i szlus!

(Robi zamach i strzela piłką, która rozrywa siatkę)

KOBIETA (*potężnym głosem*):

Ło, synek, psujesz świnyto mandala z moich łoszkrabin. To sie może źle skuńczyć!

*(Mężczyźni podskakują i cofają się w stronę widowni;
słysząc zawodzenie kobiety)*

PORCIOK:

Kaj wyście som?

ARAM:

Kto wyście som?

MŁODY:

Skond wy godocie?

PORCIOK:

Idźcie sie lepij na nieszpory, abo kaj. Sam bydymy grać w fusbal!

KOBIETA:

Tfu! Prziszoł tukej gupielok jedyn z drugim i jeszcze mie bydzie wyciepować. Waszo szmacianka rozsła moja łoszkrabinowo mandala. Tera jo sie z wami zagrom.

ARAM:

Zdo mi sie, żeście mondro mondrala – bez to rzeknijcie, czy w środa wygro Górnik?

KOBIETA:

Wygro, nie wygro. Już żech wom to elegancko poukłodała, a teroz wszystko na nowo. Jak przidziecie zaś, bydziecie musieli chycić wielgi ciynżar.

(Odgłosy zbliżającej się burzy)

PORCIOK:

Ach, ło to sie zaś rozchodzi. Pomogymy wom, starko, ja?

ARAM:

Pomogymy, pomogymy.

MŁODY:

Wszystko zrobimy dło noszego Górnika! Wszystko!

KOBIETA:

Godosz, synek, wszystko? Czekejcie... *(patrzy w łoszkrabiny i je układa, mówi irytującym, zawodzącym głosem)* Słuchejcie: bydzie tak. Lubański strzyli bramka abo i dwie.

ARAM:

Toście ale zgodli.

MŁODY:

Jakby co mecz niy strzeloł.

KOBIETA:

Kostka łobroni karny, ale i nie łobroni.

PORCIOK:

No ja. Szwarne mocie wróżby, ale my już musimy iść.

KOBIETA *(zawodzącym głosem)*:

Górnika wygro, ale i nie wygro.

MŁODY:

Ja, to z Panym Bogiem.

ARAM:

Z Bogiem.

PORCIOK:

Do widzynie!

KOBIETA:

I pamiyntejcie: wszystko trza dobrze porachować.

MŁODY *(na odchodnym)*:

A na drugi roz, oma, pocałuj mie w nos! Adieu!

KOBIETA:

Jeszcze mie będziecie szukać.
(Wychodzą)

SZPIL 2.

Wieczór. Wpadają na boisko. Kobieta sortuje węgiel za bramkową siatką – firaną i wciepuje go do wielkiej białej konkastli. Nie zauważają jej znowu.

PORCIOK:

Kurde, skond łona wiedziała, że Kostka puści tego elwra po dobitce?

MŁODY:

Jo już łod początku wiedzioł, że to je jakoś polednica.

ARAM:

Ty już się, Młody, nie odzywej, ja? (*przedrzeźnia*) A na drugi roz, pocałuj mnie w nos!

PORCIOK:

Nawet wiedziała, że tory z dogrywki nie liczom sie zusammen, do kupy.

MŁODY:

Szprawozdawca na stadionie nawet tego niy wiedzioł!

ARAM:

Musioł zech lecieć na wieża i mu klarować. Ale terozki trza jom jakoś przywołać.

MŁODY:

Już wyim jak, pytoł zech sie farorza.... (*woła*) Matko Dobryj Rady!

ARAM:

Dej sie ale pokój, ja? (*woła*) Pytojko!

PORCIOK:

Pytojka? To je po noszymu? Łona sie nos pyto, czy my jom?

ARAM:

Tyś je ale gupi – Pytojka to je ta, co przepowiada przyszłość!

PORCIOK:

I Olympiakosowi, że tu przegro, tyż? Lepij po nowymu: Przewodnio Siło Nasza!

MŁODY:

Nasza przepowiadaczko! Przeca my mieli zrobić dło ciebie jako robota!

ARAM:

Była tako i w Grecyji – godała, że łoni przegrają, ale nie chcieli jej wierzyć, nakopali jej do rzyci i wyciepli furt. Mie godali w doma, co tu mieszkała jeszcze za Niemca tako, kole tej hałdy makoszowskij, co fulała jakieś gu-poty. Im mocnij z hałdy gaz sie sonczył, to tym dziwnij łona łopowiadała – ale potym sie to tak poleku sprowadzało. Przyszli zaś, jak palcówka sam była, coby zapytać, po któryj terozki stronie stanąć, ale jej nie boło, a gaz łostoł.

MŁODY (*śpiewa*):

Dołżebym ci chleba z masłym...

KOBIETA:

Sam żech je.

CHOPCY:

Kaj?

KOBIETA:

Łod tego fedrowanio chyba już ćma mocie na łoczach!

PORCIOK:

Coś sie sam ruszo. Pódźcie ino bliżyj.

KOBIETA:

Wos chyba sztajger miechym w gowa piznoł. Sam stoja – pod latom, za siatom.

ARAM:

A to wyście som ta Pytojka, co to przy hałdzie mieszko i dzieci straszyc?

PORCIOK:

Aram, dej pokój! Widzisz jakie machy ciepie? Zaroz bydymy łobdrzistani!

MŁODY:

Jo wos jakby widza za siatkom. Ale wyście – zdo mi się – nie som starka.

KOBIETA:

A fto pedzioł, że jak kobyta mondro, to ino staro, no fto, jo sie pytom?

PORCIOK:

Młody pedzioł.

KOBIETA:

Młody jeszcze nojwincyj wyzgierny. Jeszcze go na łopy niy przerobili.

ARAM:

A my robimy dzisiaj na kero strona?

KOBIETA:

Dzisiaj robimy na prawo... Niy podłaz bliżyj, bo niy strzimom.

PORCIOK:

Czy powiecie aby, jak sie skóńczy tyn trzeci mecz?

MŁODY:

Bardzo was proszemy.

KOBIETA:

Wy ino scecie wiedzieć, co z tym waszym meczem, a reszta was nie obchodzi.

PORCIOK:

Jako reszta? Wiecie, fto wygro naszo liga?

MŁODY:

Abo godocie o mundialu bez lato?

ARAM:

I jo by jeszcze chcioł wiedzieć, czy bydzie w końcu sprawiedliwość. I z Romą, i z nami tukej, w Zabrze. Przeca te sendzie to som same cygony. I nie ino łoni.

KOBIETA:

No, teraz sie połosprawiomy, pra? Godejcie, co to je sprawiedliwość po waszymu?

PORCIOK:

Sprawiedliwość to sie znaczy kożdemu po równo. A nie tak jak boło za Niy-mca – jedyn właściciel sroł markami, a tysionce górników na niego harowało.

ARAM:

A teraz je tak blank inaczej, ja? Ino sie to rozlazło po tych dyrektorach, po tych zjednoczeniach i tych komitetach.

MŁODY:

Sprawiedliwość to je – kożdymu, co mu sie należy.

ARAM:

To już wszyscy downo wiedzom, ino niy znodli tego, fto dzieli.

KOBIETA:

A ty, Aram, co powiysz?

ARAM:

Jakbych wiedział, tobych nie pytał, ja? Ale opowiem, jak sam, tu, nad Czar-nawkom, z tom sprawiedliwościom było... Mój dziadek wybudował sie chałpa po tyj stronie rzyki, jego bracik, a mój onkel, po tamtyj. Po welunku tam były Nyimcy, a sam Polska. Ale chałpy stoły dalyj, a bracia ze sobom godali. Ino jak przisła ta nowa demokracjo – łojciec sam łostoł, a onkla wyciepli z chałpy do Niymiec. Z jego własnyj chałpy! Bez to powiydzie mi, i jeszcze Porciokowi wyklarujcie, co sam, tukej, znaczy sprawiedliwość.

KOBIETA:

Pódźcie bliżyj, co byście lepij słyszeli, a może i zoboczyli... Bez to, że kożdy som może wybierać – a tak to je urządzone, że może – sprawiedliwość trza wtedy poukładać, jak już z koždygo z nos wylezie to, co wybroł. Wtedy z tego wszystkiego ukłodomy sprawiedliwość. Musi być równowaga – jak na waserwodze – łoczko gynał na micie, pra?

CHOPCY:

Mocie recht.

KOBIETA:

A przy tym nie do sie wszistkiego naroz – muszom być lata tuste i chude. Tukej – tak wyszło z plam na słońcu i ze śladów na wonglu – to sie to ukłodo co 11 lot.

ARAM:

I w tym siedemdzisontym roku sie to ukłodo?

KOBIETA:

Ja, tyn rok to je rok Wielgigo układanio!

MŁODY:

A bydzie to miało co wspólnego z Górnikiem?

KOBIETA:

I dobrze synek, że sie pytosz Na! (*przerzuca nad bramką pięciofrankówkę*) Wszyjstwo już je narychtowane – elektryk ze Strasburga już wiy, ino ty musisz ta moneta wrazić do kapsy syndziego. Maszę się nazywo. Ma-szę!

MŁODY (*chwytą*):

Masze. (*oglądają monetę*)

PORCIOK:

A ta siewoczka z zopaską to jest ta jeich Frelka, ja?

ARAM:

Fra... Fater–nite, ach Vater! Liber–nite, Ega–lite – Choby Trójca
Przenajświntszo?

MŁODY:

Bydzie rymis i losowanie? Jak z Duklom Praga?

KOBIETA:

Wszystkim – ja! A Oślizło mo pecha, bez to Młody musi dokładnie ta pię-
ciofrankówka wciśnonć syndziem do kapsy. A wtedy bydzie tak, jak mo być.

MŁODY:

Jo?

ARAM:

Przeca łon niy dostanie paszportu.

PORCIOK:

Żeby sie jeszcze zapisoł do partii, to może by i dostoł!

ARAM:

Chciołbyś, niy? Niech sie wszyjscy zapiszom!

MŁODY:

Nie róbcie larma, bo nic nie słysza. No to jak tam dojada, Wybawiciel-
ko Naszo?

KOBIETA:

Godom, że wszystko jest narychtowane. A Porciok paszportu już niy po-
trzebuję. Na Brynicy już granica znieśli, pra?

ARAM:

Wyforsztelujecie nom to abo jak? Ino trocha jaśnij niż łostatnio.

KOBIETA:

Powiedz ino, Porciok, co je dwudziestego drugigo kwietnia?

PORCIOK:

No, trzeci mecz z Romą? Ale...

KOBIETA:

Przypomnij ino, co to za śwynto, na kereście szykowali ta kronika?

PORCIOK:

No, w środa bydzie sto lot, jak sie Lenin urodzioł.

ARAM:

Piyknie.

KOBIETA:

Bez to towarzysze z całej Polski jadom z wycieczkom śladami Lenina. Wosz Pierwszy, bez to, że godo po francusku, a i że jigo baba lubi sie czekać u francuskich golibrodów, leci do Francyje.

MŁODY:

Tam tyż boł Lenin?

PORCIOK:

Łon był wszyndy. Bez to sie godo, że te wszystkie łone to je Międzynarodówka.

KOBIETA:

I łoni majom taki szynk, La Closerie des Lilas sie nazywo, kaj łon groł w szachy. A delegacjo zrobi takie szachy, coby w końcu swojego Górniaka obejrzyć.

PORCIOK:

Ale jes ino jedno miejsce wolne na ta wycieczka. I nie dla Młodygo.

MŁODY:

A dło kogo?

ARAM:

Co? Jeszcze sie nie domyśłosz? Łod kiedy mosz czerwono legitka?

PORCIOK:

Łod fczorej. Ale to nie je tak, jak myślicie. To je ino organizacja młodzieżowo, przeca do partii byś sie nie zapisoł. Jak boł ino jedyn bilet, to po co wos szterować?

ARAM:

Ale z ciebie kamrat, niy ma co!

KOBIETA:

Porciok niy jedzie do Francyje, bo w środa Łączyńskiego wysyłajom do Poronina.

PORCIOK:

Tam miół jechać Czumok. Wszystkoście pokryncili.

KOBIETA:

Ale nie jedzie, bo boł donos, że miół pono tam zamach jaki szykować. 11 lot tymu nazod tyż jedyn górnik – i to z Zagłymbio – zrobił bomba z żelazka z duszom i zawiesioł na drzewie, jak mieli przyżyżać wiecie kerzy...?
(*palec wskazujący w górę*)

ARAM:

Te łone, co łod nos cegły na odbudowa wzieni?

KOBIETA:

Ja, te kolekcjonery, co i lwa sie do zoo wzieni. I jeszcze wyżyj...

ARAM:

I te łone, co sbialali złote ranty z talyrzów?

KOBIETA:

Ja, te srogie numizmatyki tyż! Ale bombka była za ciynszko i gałynż sie za gibko łoberwała. Czerwone przejechali, a tego bohatera łobwiesili po tym na innyj gałynzi.

PORCIOK:

Jo na zicher leca do Francyi. Mom delegacja – wszystko je narychtowane!

KOBIETA:

Synek, nie gupiej mi sam, ino suchej, jak sie do ciebie cierpliwie godo. Potrzebujom mieć ze sobom górnika, coby im tam klapowało do tygo sojuszu robotniczo-chopskiego, bez to Czumoka zatrzymujom na 48 godzin, Łączyński ciśnie do Poronina, ty skłodosz goździk–kranc w Sosnowcu, a lyngi skosztuje we Francyi Młody.

MŁODY:

Jo? A czemu jo?

KOBIETA:

Za zasługi – za kronika tyj przyjaźni polsko-francuskij. Piywsze miejsce w województwie. Byś ty widzioł, jak Piywszy łobcałował sekretarzy z KWK „Pstrowski”!

ARAM:

A jo?

KOBIETA:

A tyś je niepewny politycznie. Niy wiysz, że cie tam majom na tyj krótkij liście?

PORCIOK I ARAM:

To je niesprawiedliwe.

KOBIETA:

Coby było sprawiedliwe, wprzód musi być niesprawiedliwe.

ARAM:

Wprzód? Nom zawsze wiatr w łoczy! Ślonzoków nienawidziło sie zawždy i nojbardziej. Za co – pytom. Za naszo ciynszko robota?

KOBIETA:

Godosz?? A kery hampelman wytarł się rzić listem Pstrowskiego? A kery ciul zostawił nazwa Stadion im. Adolfa? A kery podciep zawiesił sam tabliczka „ul. Obrońców Monte Cassino”? A potym sie dziwicie, że ludzie godajom, co godajom?

MŁODY:

Jo nawet i chyntnie pojada, ale my sie przeca nie porachowali. Jeszczeście nie pedzieli, co tom momy wom dżwignąć czy pociś?

KOBIETA:

Godałach, że bydziecie cisononć, ale każdy swój wózyk . Ażeście rozsuli mandala, musicie wiedzieć, na jako góra i jaki wózyk bydziecie ciś.

ARAM:

Pedzieć zawsze możecie. Przeca to, że Lubański strzyło tory, elwry chyto Kostka, a bramki liczom sie bez dogrywki, każdy mógł sie som wyforsztelować.

KOBIETA:

No to zaczynamy łód ciebie, Aram (*układa kawałki węgla i pisze znaki miałem po firanie, później ten kawałek wyrzuca do węglarki*). Wyjedziesz do swojego Raju, bo bydom podpisane umowy w sprawie łonczynia rodzin. Bydziesz miał wóz, swoja chałpa, ale cołkie życie bydziesz tynsknił do swojego Heimatu. Bydziesz tak fest szporować, że sie wypiszesz nawet z Kościoła, bo ci na podatek bydzie żół.

ARAM:

Nic w tyj godce nie klapuje, ale godejcie sie na zdrowie.

KOBIETA:

Tera ty, Porciok. Tobie gowa zrobi sie czerwono i weźmiesz sie dziółcha z tamtyj strony rzyki, i bydzie twojom ślubnom. Wszyjcy sie ciebie wyrzeknom, cało rodzina – wyjedziesz w Polska. Ale – wiysz co – to bydzie prawdziwo miłość. Bydziecie sie fest przoli.

PORCIOK:

...

KOBIETA:

I ty, Młody. Poznosz dziółcha z Brynowa. I tam zaczniesz robić. To bydom dobre czasy – trzynastka, czternastka, barbórka, karta górniczo, talon na malucha, podwójne bony do masorza, specjalne sklepy dla grubiorzy... Aż... łostaniesz bohatyrem.

MŁODY:

Jakie bony? Bohatyrem? I nikaj nie wyjada?

KOBIETA:

Ty łostaniesz na Ślonsku. Ale za 11 lot bydzie i tu mały raj, ino że na kartki – bydzie nosz krupniok, prawdziwy wuszt, a nawet i rolada z modrom kapustom.

MŁODY:

A co bydzie za 11 lot?

KOBIETA (*ciężko wzdycha*):

Tego, synek, teraz nie potrzebujesz wiedzieć. (*odchodzi*) Już mom inno wachta, ale pamiyntejcie – jak pięciofrankowa spadnie na face, nie zmieni sie nic, jak na pile – zmieni sie wszystko. (*Odchodzi. Młody podrzuca monetę, tańczy na scenie*)

SZPIL 3.

Potargana firana. W jej miejscu, w bramce – telewizor, transmisja ze Strasburga. Przed telewizorem siedzą Porciok i Aram. Stałe zakłócenia odbioru – obraz ucieka, głos Ciszewskiego zostaje.

PORCIOK:

Dolecioł do tyj Francyi?

ARAM:

Coby miół nie dolecieć. Łon paszport miół. A tobie dzisiaj sprowadzali?

Sytuacja, w której Lubański jest o krok od zdobycia bramki. Komentarz Ciszewskiego.

ARAM:

No, strzylej. (*Na stadionie gaśnie światło*) Ja, już je i godoł z elektrykiem.

PORCIOK:

Ale w takiej chwili. Żeby to nie mogli normalnie wygrać bez tej całej godki.

ARAM:

Łona godowała ło tym, co przed grubom zawsze baby godajom w dzień noszyj wypłaty.

PORCIOK:

Wszystko było, jak pedziała.

ARAM:

Chopie, jo się zaś pytoł, czy to nie je ta starka, co jom pizło w gowa i zamieszkała przy biedaszybie, pod hałdom. I to je na zicher łona; łona jeszcze z moimi starzikami łosprowiała. Kożdo plotka musiała przez nią przełyć: i z Pawłowa, i z Zaborza, i z Kóńczyc. Poskładała to razym choby Cygonka i nom wciśla.

(Znowu gaśnie światło na stadionie)

PORCIOK:

To je na zicher Młody. Przeca łon nic za pierwszym razem nie poradzi. Wiysz jak?

ARAM:

Ja, do Młodego to pasuje. Ale jo i tak w te gupoty, co nom pedziała, nie wierza.

PORCIOK:

A w Skarbnika wierzisz?

ARAM:

Skarbnik to je co inne.

PORCIOK:

Kule-bele! Koniec meczu. Bydzie ciepąć pięciofrankową!

ARAM:

Czekej ino na sprawiedliwość.

Komentarz Ciszewskiego: „Polska! Górnik! Brawo! Proszę państwa, a więc sprawiedliwości stało się zadość. Kochani chłopcy, macie jednak szczęście”. Aram i Porciok tańczą z radości. Nagle z daleka słychać uderzenie pioruna – obaj zastygają w bezruchu. Zaczyna padać.



SadziMy Miasto Ogrodów

My w Instytucji Kultury Katowice – Miasto Ogrodów dobrze wiemy, że aby coś urosło, trzeba to najpierw zasiać. Dlatego od kilku lat siejemy w głowach mieszkańców Katowic ideę Miasta Ogrodów – pełnego wydarzeń na europejskim poziomie, atrakcyjnego dla gości spoza Górnego Śląska, w którym można przyjemnie żyć i dobrze się bawić.

Zmieniamy ulice Katowic wprowadzając na nie zaskakujące dzieła sztuki podczas Street Art Festivalu. Ożywiamy ich krajobraz sadząc na Superjednostce z tysięcy kwiatów SuperOgród. Żeby kultura w Katowicach bujniej kwitła podlewamy ją jazzem na JAZZART Festivalu i wzbogacamy o niezależne kino podczas Festiwalu Filmowego Ars Independent. Wspomagamy wszystkich, którzy chcą z nami sadzić ten ogród: OFF Festival czy festiwal Tauron Nowa Muzyka. A że po ogrodach najlepiej jeździ się na rowerze, dlatego prowadzimy wypożyczalnię rowerów z charakterystycznym serduszkem Miasta Ogrodów.

W 2015 roku Katowice świętują 150. urodziny. Szykujemy na ten rok wydarzenia, jakich miasto jeszcze nie widziało. Co roku we wrześniu macie zresztą ich przedsmak podczas urodzin miasta Kocham Katowice. Staramy się też, żeby UNESCO przyznało Katowicom status Miasta Kreatywnego w dziedzinie muzyki. Miasto Ogrodów rośnie z każdym miesiącem.

www.miasto-ogrodow.eu

www.facebook.com/esk2016katowice



KATOWICE
Miasto Ogrodów

Egzemplarz bezpłatny

wydawcy:

Imago Public Relations

Instytucja Kultury Katowice

– Miasto Ogrodów

IMAGO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE

Miasto Ogrodów

ISBN 978-83-63304-01-0

